25 lat lubelskiego ośrodka naukowego

Kamena

CENA 2 ZŁ

LUBLIN 26.X.1969. Nr 22 (429) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

DLA REGIONU I KRAJU

Wywiad z wiceministrem Oświaty i Szkolnictwa Wyższego
dr. Witem Drapichem

W ZWIĄZKU z ćwierćwieczem lubelskiego ośrodka naukowego redakcja poprosiła wiceministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego dr. Wita Drapicha o charakterystykę dorobku i perspektyw Polski Ludowej w zakresie wyższych uczelni i nauki — z wyróżnieniem sytuacji ośrodka, który właśnie obchodzi swój jubileusz.

— W październiku mija 25 lat od chwili powstania pierwszej w Polsce Ludowej wyższej uczelni: lubelskiego Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, z którego wyłoniły się później inne uczelnie miasta — Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Rolnicza. Rocznicowe święto lubelskiego ośrodka uczelnianego zbiega się z ćwierćwieczem nauki w Polsce Ludowej. Jak Obywatel Minister scharakteryzowałby osiągnięcia Polski Ludowej w rozwoju wyższych uczelni i nauki?

— Rozwój szkolnictwa wyższego i nauki należy do najbardziej znamiennych osiągnięć Polski Ludowej. Oto niektóre charakterystyczne zmiany, jakie nastąpiły w szkolnictwie wyższym w ostatnim 25-leciu.

Porównanie stanu osiągniętego w wyniku tych zmian ze stanem przedwojennym w kraju, bądź z aktualnym stanem innych krajów w tym samym zakresie, możemy uważać za miarę naszych osiągnięć.

Nastąpił wielokrotny wzrost rozmiarów szkolnictwa wyższego. Przed II wojną światową 32 uczelnie kształciły 50 tysięcy studentów. Bieżący rok akademicki rozpoczęliśmy w 103 uczelniach, kształcących aktualnie 320 tys. studentów wszystkich typów studiów. W 1938 r. przypadało w Polsce 14 studentów na 10 tys. ludności. W bieżącym roku akademickim osiągamy prawie 100 studentów na 10 tys. ludności, co stawia nas na dobrym miejscu w tabeli państw świata. (Wskaźnik ten dla niektórych państw kształtuje się następująco: Bułgaria — 99, Czechosłowacja — 96, Węgry — 77, NRD — 65, ZSRR — 188, Szwecja — 125, Francja — 104, Włochy — 66, NRF — 66, Indie — 24, Brazylia — 22.)

Szkolnictwo wyższe dokonało rewolucyjnych przeobrażeń w zakresie swych funkcji społecznych, treści nauczania i metod badań naukowych, stając się ważnym czynnikiem budownictwa socjalizmu w naszym kraju.

Przed wojną szkolnictwo wyższe w Polsce miało charakter klasowo-elitarny. Klasy posiadające, stanowiące 1/30 ludności kraju, obsadzały 4/5 i więcej miejsc w szkołach wyższych. Szkoła wyższa w Polsce Ludowej jest szeroko dostępna dla córek i synów robotników i chłopów, którzy zajmują około 160 tys. miejsc, otrzymując równocześnie niezbędną pomoc materialną ze strony państwa. Oznacza to około 12-krotny wzrost w stosunku do stanu przedwojennego. Wzrosła także kilkakrotnie liczba miejsc dla dzieci inteligencji pracującej. Te przemiany w strukturze społecznej młodzieży studiującej oznaczają nie tylko usunięcie dyskryminacji i zadawnionych krzywd klasowych, oznaczają także zwiększenie możliwości wykorzystania utalentowanej młodzieży dla dobra kultury i gospodarki narodowej w skali nie znanej dotąd w naszej historii.

Nastąpił dynamiczny rozwój kadry naukowej. Młoda i prężna kadra naukowa, patriotyczna i społecznie zaangażowana, wywodząca się z najzdolniejszych wychowanków szkół wyższych Polski Ludowej, wypełniając swe funkcje dydaktyczno-wychowawcze, reprezentuje zarazem wysoki poziom naukowo-badawczy.

Głębokie przemiany nastąpiły w zakresie treści nauczania, programów, planów studiów i metod dydaktyczno-wychowawczych. Po tym względem polskie szkolnictwo wyższe prezentuje typ uczelni socjalistycznej, nowoczesnej, stale doskonalącej swe programy, metody wychowania i techniki nauczania.

Istotne znaczenie miała zmiana proporcji kształcenia specjalistycznego. Położono nacisk na szybki rozwój tych kierunków studiów i specjalizacji, które mają decydujące znaczenie dla rozwoju gospodarki i kultury dziś i w przyszłości. Rozbudowaliśmy na szeroką skalę studia techniczne, rolnicze, matematyczno-przyrodnicze, ekonomiczne, a także — choć w mniejszym stopniu — studia humanistyczne, medyczne, artystyczne i wychowania fizycznego.

Skalę tych zmian niech zobrazuje następujące porównanie: w 1938 r. na kierunkach technicznych studiowało 7 600 studentów; obecnie na

Dokończenie na str. 2

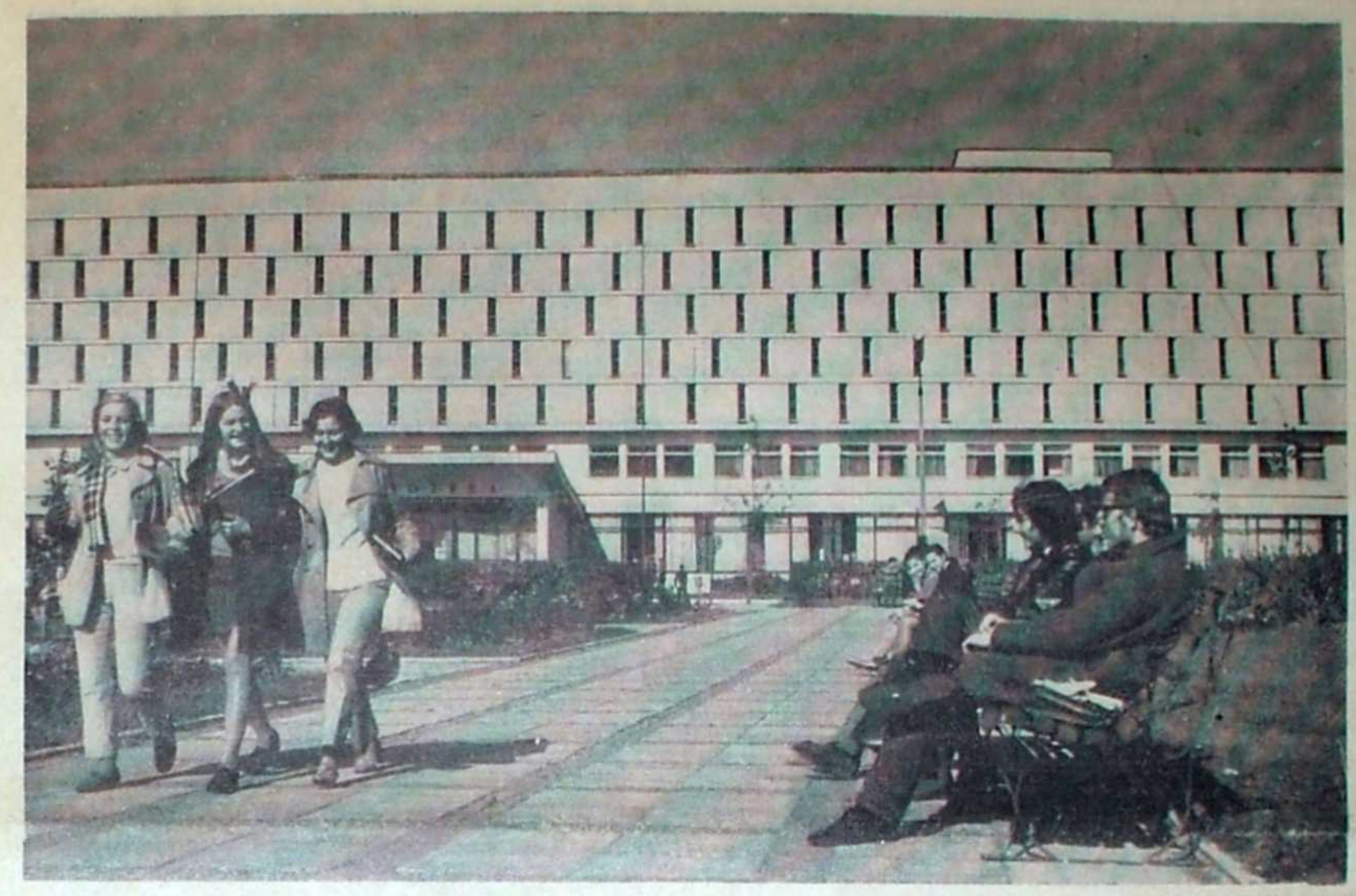

CAF — fot. Eliza Pelczarowa

Nauka lubelska w Polsce i na świecie

Tadeusz Graba

„MARIA Skłodowska-Curie też zaczynała od szopy, dlatego nie należy zrażać się brakiem odpowiednich na razie warunków". To rozczulające dziś swoją młodzieńczością stwierdzenie padło w czasie jednej z dyskusji nad sensem powołania w Lublinie wyższej uczelni. Wówczas, przed 23 października 1944 roku, miało ono jednak wagę argumentu, przemawiającego do wyobraźni ludzi nauki, których wojenne losy sprowadziły do pierwszej, ludowej stolicy wyzwalanego kraju. I dzięki takim właśnie racjom, kryjącym patriotyczny entuzjazm i niecierpliwe pragnienie odbudowy polskiej nauki, wspartym mądrą polityką nowej władzy, kojarzącej planowaną uczelnię z katalizatorem cywilizacyjnym wschodniej Polski, powstał UMCS — zaczyn lubelskiego ośrodka naukowego.

Na początku brakowało wszystkiego: księgozbiorów, aparatury, laboratoriów. Brakowało też czegoś nie mniej istotnego dla rozwoju nauki: własnej tradycji. Uruchomienie ośrodka naukowo-uczelnianego w jednym z najbardziej zacofanych dotąd regionów kraju, na dodatek wyniszczonego wojną, postawiło naukowców przed problemem pracy od podstaw, zarówno na płaszczyźnie organizacyjnej, dydaktycznej, jak i w zakresie mnożenia własnego dorobku naukowego. A środowisko to było nieliczne, w pierwszych miesiącach istnienia UMCS skupiał niewiele ponad 100 samodzielnych i pomocniczych pracowników nauki. Braki kadrowe trzeba było uzupełniać „importem", co wobec małej atrakcyjności miasta w latach czterdziestych nastręczało całą masę kłopotów.

Patrząc na dokonania naukowe ośrodka lubelskiego warto też pamiętać, że początkowo — zgodnie z formalnym statutem — realizował on przede wszystkim program dydaktyczny, kształcąc kadry specjalistów dla całej połaci kraju na wschód od Wisły. Ale nawet w tych pierwszych, pionierskich latach pamiętano o kardynalnej zasadzie rozwoju kultury umysłowej, zgodnie z którą nie może być mowy o stojącej na wysokim poziomie dydaktyce bez odpowiednio pogłębionej refleksji czysto naukowej. Honorowanie tej zasady, przypominającej niejako sprzężenie zwrotne, przyniosło dobre owoce na obu płaszczyznach działalności lubelskiego środowiska naukowego.

Aktualnie środowisko to liczy około 2 000 pracowników nauki. Bilansowanie jego dokonań w jednym artykule jest niemożliwe, a ponadto autor nie czuje się uprawniony do tego zadania. Bardziej celowe wydaje się zilustrowanie obecności

Dokończenie na str. 3

Londyńskie spotkania (II)

Skąd się biorą „dzieci—kwiaty"

Mirosław Derecki

W OSTATNICH dniach września prasa angielska, od „Timesa" poczynając, a na rewolwerówce „Daily Mirror" kończąc, pełna była artykułów, poświęconych charakterystycznemu odłamowi współczesnej młodzieży brytyjskiej — hippiesom, zwanym także *flower children* — dzieci-kwiaty.

W tytułach artykułów częściej jednak niż słowo hippies pojawiało się określenie *the squatters*, oznaczające dosłownie nielegalnych osiedleńców, a w danym wypadku dzikich lokatorów. Hippiesi bowiem — być może ośmieleni swym ostatnim „sukcesem", jakim był ich sierpniowy festiwal na wyspie Wight u południowych wybrzeży Anglii — wystąpili gromadnie w samym Londynie, tym razem z „akcją" zajmowania nie zamieszkanych budynków. Przez długie godziny policja oblegała domy przy Picadilly Street oraz Endell Street, zajęte przez „nieprzystosowaną" młodzież, ubraną w koźle skóry, fioletowe lub zielone aksamitne spodnie i barwne wdzianka ozdobione kolorowymi lusterkami. Oblężeniu towarzyszyła atmosfera lekkiej histerii, wokoło gromadziły się policyjne radiowozy i tłumy gapiów, a zabarykadowani w budynkach hippiesi wołali, że nie ruszy ich stamtąd żadna siła. Niektórzy demonstracyjnie zwierzali się z okien najwyższych pięter, ryzykując skręcenie karku.

W końcu zwyciężyła policja, zajmując — bez ofiar — opanowane przez młodzież domy i aresztując 62 hippiesów obojga płci. Po raz pierwszy rozprawiono się z nimi tak zdecydowanie, ale też po raz pierwszy brytyjska opinia publiczna została tak mocno poruszona problemem młodzieży, traktowanym dotąd przez ogół raczej z przymrużeniem oka. Po raz pierwszy też prasa brytyjska zgodnym chórem uderzyła na alarm, wskazując mniej lub bardziej dobitnie na niebezpieczeństwo wynikające z dotychczasowego pobłażania ekstrawagancjom młodzieży. Uświadomiono sobie, że m. in. takie niebezpieczeństwo stanowią hippiesi i że — choć o tym już prasa raczej nie wspominała — jego źródeł należy się doszukiwać w panujących w kraju stosunkach społecznych i politycznych.

Niezależnie bowiem od zapatrywań poszczególnych warstw społecznych na sam „fenomen hippy", znów w drastyczny sposób wyszła na światło dzienne sprawa londyńskich bezdomnych, skomplikowane problemy mieszkaniowe stolicy Wielkiej Brytanii. Lewicowa „Morning Star", a nawet „The Guardian" zwracały uwagę na sympatię gorzej sytuowanych warstw społeczeństwa do hippiesów — skwaterów, jeśli nie wobec ich „filozofii" i postawy życiowej, to w każdym razie do ostatnio przedsięwziętej przez nich akcji.

Co gorsza, aresztowanie hippiesów i „odbicie" zajętych przez nich budynków może stać się początkiem głośnej sprawy sądowej, dodatkowo zwracającej uwagę spo-

Dokończenie na str. 5

teatrnn.pl

Kultura 1969

Literatura

* Ponad 200 recytatorów wzięło udział w VI Ogólnopolskim Festiwalu Poezji im. K. I. Gałczyńskiego w Szczecinie. Nagrodę Szczecińskiego Tow. Kultury za najwybitniejszy tom krytyk lub esejów o polskiej poezji współczesnej otrzymał Jerzy Kwiatkowski za „Remont pegazów".

* Laureatami tegorocznej „Złotej lampki górniczej" zostali: w dziedzinie prozy Marian Buchowski z Grodkowa Śląskiego za „Kilku bez parasoli", w dziale poezji Czesław Ślęzak z Katowic za „Pieśń węgla".

* Doroczną nagrodę „Nadodrza" otrzymał nestor tamtejszych pisarzy Włodzimierz Korsak, autor m.in. „Na tropach przyrody" i „Ku indyjskiej rubieży". Wkrótce ukaże się jego „Las mi powiedział". Korsak jest ponadto zapalonym fotografem i autorem wielu akwarel.

* „Opowieści niezmyślone" — to tytuł świeżo opublikowanych wspomnień Michała Rusinka. Obejmują one okres międzywojenny z Krakowa i Warszawy, okupację stolicy oraz pierwsze lata powojenne.

* „Czytelnik" wydał w tłumaczeniu Cecylii Wojewody powieść biograficzną o poetce greckiej Safonie pióra pisarza angielskiego Petera Greena.

* Wydawnictwo Literackie opublikowało dwutomowy wybór pism publicystyczno-reportażowych Ksawerego Pruszyńskiego.

* Klub „Kontakty", organizator Rybnickich Dni Literatury, obchodzi dziesięciolecie. Twórcy tego regionu wydali w tym czasie ponad 30 książek, w wieczorach literackich uczestniczyło ponad 300 pisarzy krajowych i zagranicznych.

* Z okazji tradycyjnej „Dekady książki polskiej" w Wilnie 40 naszych wydawnictw zaprezentowało 1200 pozycji literatury pięknej, politycznej i naukowej, a także albumów artystycznych.

* W Paryżu otwarto wystawę, prezentującą tłumaczenia książek polskich za granicą. Spośród 4 tys. takich książek przedstawiono 1200.

* Francuską nagrodę poetycką Marie Noel otrzymał za 5 zbiorów wierszy lekarz kardiolog Robert Gavrel de Loupiac.

* Braterstwo i pokój przez poezję — pod takim hasłem ma się odbyć w Manili światowy kongres poetów. Nadeszły już zgłoszenia z 92 krajów, w tym z ZSRR i USA.

* Policja hiszpańska aresztowała 33-letniego pisarza Sergio Vilara, autora głośnej książki „Władza leży na ulicy", który po kilku latach pobytu we Francji wrócił do kraju.

* W Hiszpanii utworzono nagrodę poetycką im. Guillaume Apollinaire'a.

Teatr

* Ok. 380 eksponatów zgromadzono na dwóch nowych wystawach w Muzeum Teatralnym Teatru Wielkiego w Warszawie. Tytuły wystaw: „Pamiątki warszawskiej sceny" i „Z dziejów Teatru Wielkiego".

* Z kilkuset utworów dramatycznych, poświęconych życiu Mahatmy Gandhiego, nadesłanych na konkurs ogłoszony w USA, do wystawienia zakwalifikowano trzy, w tym Stanisława Hadyny, kierownika Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk".

* 1 300 tys. osób obejrzało w Demokratycznej Republice Wietnamu występy teatrów zawodowych i zespołów artystycznych w pierwszym półroczu br. W tym okresie w samym tylko Hanoi filmy obejrzało 6 mln widzów.

* Z udziałem przedstawicieli 36 krajów odbywa się w Dublinie sympozjum na temat sytuacji teatru i aktorów w świecie współczesnym.

* Mim czechosłowacki Ladislav Fiaka wraz ze swoim zespołem wystąpi w ramach Teatru Narodów w Paryżu na wiosnę 1970 r.

* Teatr szekspirowski w Startford w Anglii w roku ub. zanotował deficyt w wysokości 161 126 funtów szterlingów. Mimo że było ponad milion widzów, a dotacja wyniosła 614 tys. funtów. Jest to najwyższy deficyt od czasu powstania teatru.

* Teatr w Belgradzie „Atelier 212" wystawił głośną sztukę „Hair" pod nazwą „Kosa".

* W dniach 18—26 października odbywał się we Wrocławiu „Festiwal festiwali — międzynarodowe spotkanie teatrów studenckich. Udział wzięły zespoły z Moskwy, Parmy, Budapesztu, Nowego Jorku, Avignonu, Londynu, Utrechtu, Sztokholmu i Bukaresztu.

Sztuka

* W listopadzie odbędzie się walne zebranie Związku Polskich Artystów Plastyków.

* Na Biennale ilustracji książek dla dzieci w Bratysławie wśród złotych medalistów znaleźli się twórcy polscy — Anna Kamieńska i Józef Wilkoń.

* W Koszalinie otwarto w tamtejszym muzeum dział, poświęcony walkom o Wał Pomorski i Kołobrzeg.

* W Bernie odbyła się wystawa akwarel i rysunków Krzysztofa Jelenkiewicza, absolwenta Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, który następnie studiował malarstwo we Francji i od kilku lat zamieszkuje w Szwajcarii.

* Na X Biennale w Sao Paulo jedną z nagród otrzymał plastyk polski Waldemar Świeży.

* W Waszyngtonie została otwarta wystawa malarska „Pejzaż polski", obejmująca 42 prace 11 twórców.

* Naukowcy z Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN odkryli w okolicach Krakowa osadę z początków neolitu, a więc sprzed ok. 6,5 tys. lat. Jest to pierwsza tego typu osada w Polsce, a jedna z nielicznych w Europie. Ściany długości do 30 m wykonane były z wikliny oblepionej gliną.

* Z okazji 300 rocznicy śmierci Rembrandta otwarto w Amsterdamie wystawę jego 23 obrazów i 120 rysunków. Wśród obrazów — „Ofiara Abrahama" z muzeum leningradzkiego.

* W Heraklionie w Grecji aresztowano 40 osób za fabrykowanie rzekomych zabytków archeologicznych sprzed kilku tysięcy lat.

Muzyka

* 17 imprez, 18 prawykonań, 72 kompozycje — oto liczbowy bilans XIII Warszawskiej Jesieni.

* Doroczną nagrodę krytyków SPAM statuetkę „Orfeusz 69" przyznano Janowi Krenzowi „za doskonałą prezentację dzieł współczesnych w czasie Warszawskiej Jesieni".

* Poznańska Opera im. St. Moniuszki obchodziła uroczyście jubileusz 50-lecia istnienia. Dwutygodniowe obchody zakończyły się III Festiwalem Polskich Oper i Baletów.

* Operetka Łódzka przygotowuje prapremierę nowej polskiej pozycji „Skrzydlaty kochanek". Jest to musical z muzyką Stanisława Renza i librettem Jana Majdrowicza.

Film

* Reżyser radziecki Michał Romm rozpoczął prace nad filmem o prowizorycznym tytule „Pierwsze stronice". Będzie to film o tych, którzy w sztuce radzieckiej pierwsi pokazali Lenina.

* Zofia Loren oskarżyła jeden z magazynów włoskich, przeznaczonych dla mężczyzn, o zamieszczenie jej aktu, który — jak twierdzi — jest fotomontażem.

* Melina Mercouri wystąpi w filmie „Obietnica świtu" w reżyserii swego męża J. Dassina. Część plenerów powstanie w Polsce.

* Gdybym mógł — powiedział Alfred Hitchcock — nie realizowałbym nic z swoich pomysłów. W czasie realizacji traca one przynajmniej 25 proc. swojej wartości.

* Jacques Tati przystąpił do kręcenia filmu „Yes, monsieur Hulot" — będzie to zapewne dalszy ciąg głośnego obrazu z 1953 r.

* Don Kichot będzie bohaterem pełnometrażowego filmu animowanego, który tworzy reżyser amerykański Fred Calvert.

Różne

* Ogólnopolska inauguracja roku kulturalno-oświatowego odbyła się w Lubinie, stolicy polskiego zagłębia miedziowego. Obecni byli m.in. kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko oraz minister Kultury i Sztuki Lucjan Motyka.

* Technika i sztuka tańca w ZSRR — takie było hasło wycieczki turystyczno-zawodowej 75 profesorów tańca klasycznego i współczesnego z Francji. Zwiedzili oni kilkanaście miast radzieckich, oglądając spektakle i dyskutując z teoretykami i praktykami tańca w ZSRR.

* W Muzeum Al. Puszkina w Moskwie otwarto wystawę „Puszkiniana domniemane" — obrazy, portrety i przedmioty, związane rzekomo z wielkim pisarzem. Niektóre okazały się autentykami, jak np. portret Mikołaja Wołkońskiego, dziada księcia Lwa Bołkońskiego z „Wojny i pokoju".

* W Azerbejdżanie zdemaskowano niezwykłe oszustwo z 1851 r. Ukazała się wtedy w Berlinie księga wierszy „Pieśni Mirzy Szafi", za autora której podawał się poeta niemiecki i podróżnik Friedrich Bodemstedt. Autorem okazał się nauczyciel szkoły w Tyflisie Mirza Szafi.

* W NRF powstał pierwszy w dziejach tego kraju związek pisarzy, dotychczas istniało 13 regionalnych stowarzyszeń i kół literackich. Pierwszy oficjalny zjazd odbędzie się za rok w Kolonii.

* W Sarcelle we Francji otwarto bibliotekę im. zmarłej przed kilku laty Anny Langfus, pisarki pochodzącej z Lublina.

* W Afryce telewizja istnieje w 20 krajach. Odbiorniki jednak są bardzo drogie, równają się trzyletnim zarobkom robotnika. Znaczna większość telewizji jest podporządkowana dawnym państwom kolonialnym. Np. w Nairobi 60 proc. czasu na 10 lat zakupiły już towarzystwa angielskie i amerykańskie.

* Poeta Pablo Neruda został oficjalnym kandydatem Chilijskiej Partii Komunistycznej w wyborach wstępnych na prezydenta kraju, które odbędą się za rok.

* Niejaka Simone Berteaut opublikowała we Francji książkę pt. „Piaf", podając się za przyrodnią siostrę zmarłej piosenkarki. Książka zawiera podobno wiele nieścisłości, niejaka Denise Gassion skierowała sprawę do sądu, podając siebie za autentyczną przyrodnią siostrę Edith Piaf.

Dni Kultury Rosyjskiej FSRR

W DNIACH od 20 do 30 października w całej Polsce odbywa się wielka prezentacja kultury Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Przypomina się zarówno tradycje wzajemnych kontaktów kulturalnych między Polską a Rosją, jak i przedstawia olbrzymi dorobek dzisiejszej Rosyjskiej FSRR. Społeczeństwo polskie ma możność gościć takie zespoły, jak 120-osobową słynną orkiestrę symfoniczną Leningradzkiej Państwowej Filharmonii pod kierownictwem E. Mrawińskiego, Państwowy Akademicki Teatr im. E. Wachtangowa, Republikański Chór Akademicki pod kierownictwem A. Jurłowa, Państwowy Akademicki Rosyjski Chór Ludów im. Piatnickiego, a także Krasnojarski Zespół Tańca Ludowego Syberii i Północno-Osetyński Zespół Tańca.

Dekada Rosyjska stanowi też doskonałą okazję do bliższego poznania rosyjskiej literatury i sztuki plastycznej.

Znaczenie tegorocznych „Dni" uwypukla fakt, że odbywają się one w przededniu rozpoczęcia obchodów 100-lecia urodzin Wielkiego Wodza Rewolucji Październikowej, Włodzimierza Lenina, a także 52 rocznicy Rewolucji Październikowej.

„Kamena" nieraz na swoich łamach prezentowała przekłady poezji rosyjskiej jak i poezji innych narodów ZSRR. Specjalną kolumnę poetycką przygotowujemy do następnego numeru, w dużej mierze związanego z rocznicą Rewolucji. Rozpoczęliśmy już również cykl artykułów poświęconych 100-leciu urodzin Włodzimierza Lenina. Otworzył go w poprzednim numerze Kazimierz Wiliński pracą pt. „Lenin o rewolucji". Kolejny materiał z tego cyklu zamieścimy w następnym numerze „Kameny", ponieważ ten — prawie w całości — poświęcamy 25-leciu lubelskiego środowiska naukowego.

DLA REGIONU I KRAJU

Dokończenie ze str. 1

kierunkach technicznych studiuje 112 tys. studentów.

Rozwój kadry naukowej wiąże się ściśle z wzrostem potencjału naukowo-badawczego szkół wyższych.

Uczelnie, kształcąc kadrę naukowo-badawczą i budując nowoczesną bazę laboratoryjną, stały się wielkim i głównym dotąd warsztatem pracy badawczej. Wkład naukowy szkół wyższych w rozwój różnych gałęzi gospodarki narodowej, jak i poszczególnych regionów kraju jest ogromny.

Rozwój kadry naukowej i badań w uczelniach warunkował stworzenie rozległego systemu organizacji badań podstawowych i ich zastosowań w stworzonych od podstaw w Polsce Ludowej instytutach PAN, instytutach resortowych i placówkach naukowo-badawczych zaplecza technicznego gospodarki narodowej. Jakkolwiek, zwłaszcza w ostatnich latach, szybko rozwijają się środki badawcze przemysłu, to uczelnie nadal dysponując wielkim potencjałem badawczym zapewne pozostaną głównym ośrodkiem kształcenia kadr naukowych.

Charakterystyczną cechą rozwoju szkolnictwa wyższego w 25-leciu jest znaczna rozbudowa sieci szkół oraz bazy naukowo-dydaktycznej oraz socjalnej. Z jednej strony nastąpiła znaczna koncentracja wysiłków w głównych ośrodkach, gdzie powstały wielkie kompleksy naukowe, zdolne do kształcenia na wielką skalę i na wysokim poziomie, o bardzo szerokim wachlarzu specjalności. W ośrodkach tych powstały silne placówki badawcze. Z drugiej strony nastąpiło znaczne poszerzenie sieci. Dziś każde województwo posiada jedną lub kilka uczelni. W ostatnim okresie szkoły wyższe uruchamiają swoje placówki, filie, wydziały zamiejscowe, punkty konsultacyjne poza swoimi siedzibami.

Rozwój sieci szkół wyższych wymagał olbrzymich nakładów inwestycyjnych na budynki i aparaturę. W wielu miastach kraju powstały całe „miasteczka uniwersyteckie". Ilustracją tego procesu może być ośrodek lubelski, w którym zbudowano duży, nowoczesny kompleks szkół wyższych.

Należy podkreślić, że ten sukces w rozmiarach kształcenia nie ogranicza się tylko do liczby studentów. Pod względem poziomu naukowego i jakości kształcenia uczelnie nasze bez wątpienia zajmują średnio dobre miejsce wśród uczelni europejskich, co znajduje wyraz w uznaniu zagranicy dla dobrego poziomu przygotowania absolwentów naszych uczelni. Ocena zagraniczna ma, oczywiście, tylko orientacyjny charakter. Decydujące znaczenie ma dla nas przydatność absolwentów i sprawdzalność ich kwalifikacji naukowych, fachowych, moralnych i politycznych w działalności praktycznej. I tu ocena nasza jest pozytywna, potwierdzana praktyką codziennie w skali masowej. Bo oto uczelnie nasze wypuściły w 25-leciu prawie 500 tys. absolwentów. Pracują oni we wszystkich dziedzinach naszego życia kulturalnego, społecznego, gospodarczego, w nauce i technice, wykonując trudne, odpowiedzialne i twórcze funkcje. Kadra ta zdała już egzamin na wszystkich etapach odbudowy i rozwoju naszego kraju, zdolna jest przygotować się do działania w warunkach rewolucji naukowo-technicznej.

— Świat inwestuje w naukę — materialnie i moralnie — słusznie oczekując od niej skutecznych metod i środków, niezbędnych przy budowie nowoczesnych struktur społecznych i gospodarczych. Jak przedstawiają się perspektywy rozwojowe szkolnictwa wyższego i nauki polskiej w najbliższych 10—15 latach?

— Rola wysoko wykwalifikowanych kadr oraz szerokiego wykorzystania zdobyczy nauki w rozwoju społeczeństwa socjalistycznego jest powszechnie znana. Strategia naszego rozwoju gospodarczego i kulturalnego w pełni stawia na rozwój systemu badań naukowych, jak również na rozwój systemu kształcenia kadr specjalistów.

Można przyjąć, że w ciągu 10—15 lat nastąpi podwojenie rozmiarów kształcenia studentów w ramach szkolnictwa wyższego i chyba potrojenie kształcenia kadr naukowo-badawczych dla potrzeb rozwiniętego systemu badań naukowych i ich zastosowania w praktyce.

Odpowiednio do tych zadań muszą być, oczywiście, uruchomione, w odpowiednich okresach niezbędne, środki materialne i formy organizacyjne. W ramach wzrostu rozmiarów kształcenia nastąpi pewna optymalizacja wielkości ośrodków, tj. ograniczenie ilościowe ośrodków wielkich i szybszy rozwój ośrodków mniejszych i nowych. Główny wysiłek musi być położony na poprawę jakości, poziom kształcenia i badań, na rozwój kadry naukowej, unowocześnienie aparatury, nowe formy organizacji, poprawę warunków pracy i bytu środowiska.

— O wielkości lubelskiego ośrodka uczelnianego świadczy choćby liczbo niemal 2 000 związanych z nim samodzielnych i pomocniczych pracowników nauki. Tak rozbudowany ośrodek w ogromnym stopniu przyczynił się do awansu społeczno-gospodarczego i kulturalnego Lubelszczyzny, partycypując jednocześnie w rozwoju sąsiednich województw, czego jednym z dowodów filia UMCS w Rzeszowie. Jakie zadania stawia przed ośrodkiem lubelskim Resort Obywatela Ministra?

— Ośrodek lubelski jest niemal klasycznym przykładem rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce Ludowej. W ciągu 25 lat rozwinął się i okrzepł w Lublinie silny kompleks szkół wyższych, stanowiących zarówno pod względem kształcenia jak i potencjału badawczego ważny ośrodek w skali krajowej. Obecnie ośrodek lubelski, liczący około 20 tys. studentów, zajmuje 6 miejsce po Łodzi, ale przed Gdańskiem, Katowicami, Szczecinem i in. Pod względem ilości kadry naukowo-badawczej ośrodek lubelski zajmuje 9 miejsce w kraju. Lublin jest jedynym ośrodkiem obsługującym rozległe połacie kraju nad środkową Wisłą, a także znaczne tereny woj. rzeszowskiego.

Niektóre specjalizacje ośrodka lubelskiego mają znaczenie ogólnokrajowe i zapewne te funkcje ogólne będą narastały. Głównym jednak zadaniem jest i pozostanie nadal służba dla rozwoju kulturalnego i gospodarczego regionu lubelskiego.

Ośrodek lubelski musi dostosować swe kierunki specjalizacyjne kształcenia i badań do przyszłych potrzeb regionu.

Przy obecnym poziomie rozwoju ośrodka lubelskiego możliwe jest wyprzedzanie tych potrzeb tak, aby brak kadr nie był hamulcem rozwoju regionu.

Potrzeby wewnętrzne rozwoju środowiska lubelskiego wysuwają na czołowe miejsce rozwój badań naukowych i kadry oraz unowocześnienie struktury organizacyjnej uczelni oraz wszelkie te przedsięwzięcia, które decydują o jakości i poziomie pracy naukowej.

— Czy w związku z ogólnymi planami Ministerstwa przewiduje się dalszy rozwój lubelskiego ośrodka uczelnianego? Jeśli tak, prosimy o wskazanie kierunków tego rozwoju, o ogólną charakterystykę.

— Przewiduje się dalszy rozwój lubelskiego ośrodka naukowego. Na pierwszym miejscu należy postawić rozwój studiów technicznych, zarówno rozmiarów kształcenia, jak i bazy dydaktyczno-naukowej i kadry. Rozwijać się będą intensywnie niektóre kierunki rolne, chemia, biologia, matematyka, fizyka, geografia, studia ekonomiczne i administracyjne.

UMCS wprowadzi na niektórych kierunkach wyższe formy studiów, tj. studia podyplomowe i studia doktoranckie, rozszerzając tym samym swoje funkcje jako ośrodek doskonalenia kadr z wyższym wykształceniem. Rozwijany będzie system kształcenia nauczycieli szkół podstawowych w wyższych szkołach nauczycielskich, z którym wiąże się potrzeba rozwoju nauk pedagogicznych.

Ośrodek lubelski będzie nadal rozwijał i umacniał swoje filie w Rzeszowie i Białej Podlaskiej. Możliwe jest w przyszłości utworzenie jeszcze jednej placówki w Zamościu dla WSN. Stworzenie warunków realizacji tych zadań wymagać będzie dalszych inwestycji.

— Z roku na rok wzrasta liczba kandydatów na wyższe uczelnie. Czy przewiduje się zwiększenie limitów miejsc na pierwszych latach studiów?

— Limity przyjęć na I rok studiów wzrastają corocznie. W związku z dalszym rozwojem ośrodka lubelskiego limity rekrutacyjne będą wzrastać proporcjonalnie do zapotrzebowania na określonych specjalistów i możliwości jakie stwarza kadra i baza naukowo-dydaktyczna.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

* Staraniem Oddziału ZBoWiD odbyła się sesja popularnonaukowa na temat „Zbrodnie Wehrmachtu na terenie woj. białostockiego we wrześniu 1939 r.". Wygłoszono trzy referaty: mgr. Bolesława Reszki — „Zbrodnie Wehrmachtu na ludności cywilnej na Białostocczyźnie we wrześniu 1939 r.", mgr. Waldemara Monkiewicza „Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych na Białostocczyźnie we wrześniu 1939 r.", mgr. Zygmunta Kosztyły — „Działania zbrojne na Białostocczyźnie we wrześniu 39 r."

* W Netcie Folwarku w pow. augustowskim oddano do użytku nową szkołę, wzniesioną w głównej mierze czynami społecznymi miejscowej ludności i wojska. Na uroczystości przekazania szkoły obecny był poseł na Sejm, dowódca WOW, gen. dyw. Zygmunt Huszcza.

KIELCE

* W konkursie „Bliżej teatru" pierwsze miejsce przyznano PDK w Busku i klubowi fabrycznemu Odlewni „Niekłań" w Stąporkowie, spośród szkół — Teatrowi Poezji „Kontakty" przy Technikum Mechanicznym w Końskich.

* Naukowcy z Politechniki Krakowskiej pod kierownictwem prof. dr. Wiktora Zina przeprowadzają inwentaryzację obiektów zabytkowych Opatowa.

* W Kielcach odbył się I Ogólnopolski Przegląd Filmów z zakresu oświaty zdrowotnej. Cztery wytwórnie zaprezentowały 32 filmy o tej tematyce.

* Z inicjatywy grupy działaczy z przewodniczącym Prez. MRN w Opatowie, Zbigniewem Kawką, powstało Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Opatowskiej.

LUBLIN

* Szkoła Podstawowa nr 6 w Lublinie — jako jedna z kilku w województwie — przed 5 laty podjęła prace nad reformą systemu nauczania. Eksperyment prowadzony był pod kierunkiem prof. dr. Konstantego Lecha i dr. Marii Cackowskiej z Katedry Pedagogiki UMCS. Ostatnio z udziałem przedstawicieli Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, wojewódzkich władz partyjnych i związkowych, a także nauczycieli z Lubelszczyzny i z innych województw, odbyło się podsumowanie 5-letniej pracy eksperymentalnej.

* Z okazji rozpoczęcia nowego roku kulturalnego odbyły się w Lublinie liczne imprezy. W Bibliotece im. H. Łopacińskiego odsłonięto tablicę upamiętniającą przechowywanie w czasie okupacji w tym gmachu 2 obrazów Matejki. W osiedlu LSM obradował sejmik działaczy kulturalno-oświatowych z lubelskich osiedli mieszkaniowych. Na Podzamczu odbyła się pierwsza impreza z cyklu „Światło i dźwięk" pt. „Tobie Ojczyzno".

* Filharmonia Lubelska rozpoczęła nowy sezon. W koncercie inauguracyjnym wzięła udział orkiestra Filharmonii pod dyrekcją Adama Natanka oraz Teresa Rutkowska, laureatka międzynarodowych konkursów w Warszawie i Vercelli (fortepian).

RZESZÓW

* Teatr im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie rozpoczął nowy sezon teatralny dwuaktową sztuką Mariana Łabuki „Odpocznisz w biegu" w reżyserii Stanisława Bielińskiego, w oprawie inscenizacyjnej I. Perkowskiej.

* Podczas inauguracji nowego roku akademickiego wmurowano kamień węgielny pod nowoczesny budynek Wydziału Wychowania Technicznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie.

* Wystawą prac artystki-malarki Renaty Niemirskiej-Pisarek Biuro Wystaw Artystycznych otworzyło w Rzeszowie sezon jesienno-zimowy. Popularna w Rzeszowie artystka była członkiem znanej ongiś „Grupy 11".

* Wielką atrakcję „Dni Lubaczowa" stanowiła ekspozycja obrazów urodzonego w 1866 r. w Lubaczowie znanego malarza Stanisława Dębickiego, absolwenta a następnie profesora Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obrazy dostarczyło Muzeum Narodowe w Krakowie oraz we Wrocławiu.

Kamena str. 2

Nauka lubelska w Polsce i na świecie

Dokończenie ze str. 1

lubelskiej myśli naukowej w dorobku niektórych dyscyplin nauki polskiej, a także wskazanie na te fakty, które spotkały się z żywym przyjęciem zagranicy. Wybrane przykłady nie wyczerpują, oczywiście, całokształtu osiągnięć środowiska, ale w jakimś stopniu obrazują problematykę badawczą i zakres jego działalności w okresie minionego dwudziestopięciolecia.

* * *

Wobec kryzysu zainteresowań historią powszechną w Polsce godnym uwagi wydaje się fakt podjęcia tej problematyki przez kilku naukowców lubelskich. Prof. dr Henryk Zins, wykładający właśnie jako Visiting Profesor historię średniowieczną w Laurentian University w Kanadzie, bada dzieje Anglii i stosunki polsko-angielskie, czego piśmienniczym rezultatem m. in. „Zarys historii Anglii" jego autorstwa. Prof. dr Adam Kersten skoncentrował swoją uwagę na stosunkach polsko-szwedzkich, publikując następnie „Zarys historii Szwecji od czasów najdawniejszych do dzisiejszych". Nestor lubelskich historyków, prof. dr Juliusz Willaume, ogłosił szereg prac o problematyce francuskiej, rozwarstwiając także zagadnienie stosunków polsko-francuskich za czasów Napoleona. W tym miejscu należy też przytoczyć wnikliwe badania zagadnień ustrojowych współczesnej Francji oraz Polski, prowadzone przez prorektora UMCS, doc. dr. Wiesława Skrzydlę.

Nowatorskimi w skali krajowej okazały się analizy doc. dr. Stanisława Krzykały, dotyczące warunków i genezy powstania pierwszego rządu Polski niepodległej w 1918 r. Badania polityki okupanta i ruchu oporu w czasie ostatniej wojny na Lubelszczyźnie, prowadzone także przez historyków UMCS i zrekapitulowane w postaci kilku tomów źródeł, zostały uznane za nowoczesne pod względem metodycznym i niezwykle istotne w procesie poszerzania współczesnej wiedzy o latach okupacji hitlerowskiej w całej Polsce. Lublin stanowi także silny w skali krajowej ośrodek badań nad reformacją i kontrreformacją (prace doc. dr. Stanisława Tworka).

Niemałe wrzenie w środowisku archeologów (i historyków) spowodowały śmiałe hipotezy prof. dr. Aleksandra Gardawskiego, dotyczące kolebki naszej państwowości i metryki samego Lublina, a sformułowane na podstawie wyników badań archeologicznych na terenach wczesnośredniowiecznego grodziska w Chodliku, Starego Miasta i wzgórza w lubelskiej dzielnicy Kalinowszczyzna. Określenie „archeologia lubelska" ma już trwałe miejsce w słowniku tej nauki.

Owocną formą eksportu lubelskiej myśli naukowej okazały się międzynarodowe zjazdy i sesje problemowe, w których uczestniczyli przedstawiciele wszystkich dyscyplin. Współpraca UMCS z zaprzyjaźnionymi ośrodkami uniwersyteckimi we Lwowie, Debreczynie i Modenie dostarczała licznych okazji do wzajemnych odwiedzin. W 1965 roku na Uniwersytecie im. L. Kossutha odbyła się np. sesja naukowa, zorganizowana wspólnie z UMCS, podczas której poloniści lubelscy wygłosili pięć referatów, naświetlających wybrane zagadnienia naszej literatury. Przewodnicząca delegacji prof. dr Janina Garbaczowska wystąpiła z referatem „Die Stellung der polnischer Literatur in der Welt".

Inny polonista, prof. dr Leon Kaczmarek, specjalista zagadnień logopedii i właściwie jej inicjator na gruncie krajowym, uczestnik międzynarodowych kongresów defektologów i fonetyków, m. in. w Pradze, Moskwie, Erfurcie, Helsinkach, gdzie wygłaszał referaty — w poważnym stopniu przyczynił się do postawienia polskiej logopedii w światowej czołówce. Duży rozgłos w kołach naukowych wywołał jego artykuł, ogłoszony w szwajcarskim czasopiśmie „Folia Phoniatrica", prezentujący przedmiot i zadania logopedii w rozumieniu nauki polskiej. W kraju nauka ta niemal utożsamia się z ośrodkiem lubelskim, tu właśnie ukazuje się czasopismo Polskiego Towarzystwa Logopedycznego „Logopedia — Zagadnienia Kultury Żywego Słowa", docierające do siedmiu krajów europejskich i do USA.

W eksporcie lubelskiej nauki byli obecni również prawnicy. Prof. dr Aleksander Wolter uczestniczył przy opracowywaniu dwu obowiązujących od 1965 r. kodeksów: cywilnego oraz rodzinnego i opiekuńczego, natomiast prof. prof. dr dr Tadeusz Taras i Henryk Rayzman brali udział przy kodyfikacji prawa karnego, a doc. dr Emanuel Iserzon wniósł twórczy wkład w prace nad kodeksem postępowania administracyjnego. Na eksportowym torze mieszczą się też prace byłego wieloletniego rektora UMCS, prof. dr. Grzegorza Seidlera. Jego „Doktryny prawne imperializmu" miały kilka wydań za granicą i zostały przełożone na języki rosyjski, ukraiński, węgierski i bułgarski. W ubiegłym roku nakładem angielskiego Pergamon Press ukazały się eseje prof. dr. G. Seidlera „The Emergence of the Eastern World".

Kilka lat temu zainicjowano tzw. eksperyment lubelski w szkolnictwie, mający na celu wypracowanie optymalnego modelu krajowej oświaty. Istotną rolę w realizacji tego przedsięwzięcia spełnia Katedra Pedagogiki UMCS, kierowana przez prof. dr. Konstantego Lecha, autora „Systemu nauczania", opartego na łączeniu teorii z praktyką w procesie rozwijania myślenia uczniów.

W dziedzinie nauk przyrodniczych i medycznych lubelskie środowisko zaczynało działalność w szczególnie niesprzyjających warunkach materialnych. I choć do dziś poszczególne katedry nie narzekają na nadmiar nowoczesnej aparatury, bardzo zresztą kosztownej, sprowadzanej nierzadko ze strefy dewizowej, to przecież efekty badawcze tych nauk są rzeczywiście imponujące, a przedstawiciele poszczególnych dyscyplin są często zapraszani do światowych centrów naukowych.

Z ogromnym zainteresowaniem przyjęto na przykład nową metodę chirurgii oka, tzw. kriochirurgię, dzieło prof. dr. Tadeusza Krwawicza z Akademii Medycznej. Kriochirurgii poświęcono nie tylko ponad 100 prac w fachowej literaturze medycznej, ale również międzynarodowe sympozja naukowe (m. in. w Chicago 1965). Metoda prof. dr. T. Krwawicza gwarantuje bezbolesność usuwania zaćmy ocznej (katarakty) oraz całkowitą skuteczność zabiegu, nadając się równocześnie do zapobiegawczego leczenia tego schorzenia. Jej twórca otrzymał w 1966 r. Nagrodę Państwową I stopnia.

W potocznej opinii lubelskiej pojęcie „chemia" pojawiło się właściwie dopiero z chwilą rozpoczęcia budowy puławskich „Azotów". A tymczasem znacznie wcześniej lubelscy chemicy mocno zaznaczyli swoją obecność na krajowej i zagranicznej arenie naukowej. Prace prof .dr. Mariana Janczewskiego z zakresu stereochemii i chemii węglowodorów wielopierścienowych doczekały się omówień i recenzji w tak poważnych periodykach, jak „Journal of the American Chemical Society" czy „Uspiechi chimii", a niektóre rozwiązania i idee zostały podjęte w celu dalszej kontynuacji przez naukę zachodnią. Kierowana przez niego Katedra Chemii Organicznej UMCS będzie naukowym oparciem dla przemysłowej produkcji włókien sztucznych, mas plastycznych i barwników, czyli surowców i specyfików szczególnie poszukiwanych na krajowym rynku.

Natomiast Katedra Chemii Nieorganicznej UMCS, kierowana przez prof. dr. Włodzimierza Hubickiego, zajmuje się głównie pierwiastkami ziem rzadkich (lantan, neodym, europ i in.), które mają zastosowanie w najbardziej nowoczesnych technikach i technologiach; 1 kg tych pierwiastków kosztuje kilkanaście tysięcy dolarów. Warto też przypomnieć, że pierwszy polski laser szklany wykonano w oparciu o uzyskany w tej Katedrze tlenek deotymu.

Chromatografia cienkowarstwowa to nazwa metody stosowanej do rozdzielania mieszanin na czyste składniki — przez chemików, rolników, lekarzy, farmaceutów — w celach analitycznych i preparatycznych. Na podstawie wyników analizy można np. osądzać przebieg procesów w reaktorze przemysłowym lub w ustrojach żywych. Dzięki odpowiednim pracom prof. dr. Andrzeja Waksmundzkiego i kierowanej przez niego Katedry Chemii Fizycznej UMCS Lublin stał się przodującym w tym zakresie ośrodkiem badawczym kraju. Szeroka przydatność efektów badawczych Katedry dla praktyki przemysłowej jest niewątpliwa, czego dowodem jej ścisła współpraca z kombinatami w Płocku (petrochemia) i Tarnobrzegu (siarka).

Doc. dr Bogdan Adamczyk, twórca echotelefonicznego systemu korekcji mowy u jąkających się (patent) i wcześniejszej metody korekcji mowy przy użyciu echa, określając własny wynalazek — który ludziom dotkniętym chorobą jąkania przyniósł realne szanse opanowania poprawnego mówienia — twierdzi, że „metoda ta nie jest tak dobra, jak sądzą bezkrytyczni entuzjaści, ale i nie jest tak zła, jak mówią nie znający jej przeciwnicy". Wypada jednak opowiedzieć się za pierwszą częścią tej opinii, albowiem metoda doc. dr. B. Adamczyka znalazła już szerokie zastosowanie w Europie, ostatnio docierając do USA. Nazwisko lubelskiego naukowca znajduje się w amerykańskiej encyklopedii „World Who's in Science".

Szeroki rozgłos zdobyły również badania prof. dr. Józefa Motyki (UMCS) w dziedzinie botaniki (mchy i porosty), awansujące go do roli światowego autorytetu, czego potwierdzeniem m. in. licznie napływające doń z zagranicy prace z tej dyscypliny, zaopatrzone prośbami o ich ocenę i merytoryczną weryfikację.

Na podkreślenie zasługuje też udział naszych naukowców przy opracowywaniu „Geografii Powszechnej" PWN: prof. dr. Adama Malickiego, jednego z organizatorów życia uczelnianego w Lublinie i znakomitego dydaktyka, oraz prof. dr. Franciszka Uhorczaka, który należy do grona najwybitniejszych polskich kartografów.

Wszystko dotąd, to sprawy ziemskie. Natomiast badania doc. dr. Mieczysława Subotowicza daleko przekraczają sferę grawitacji. Zajmuje się on m. in. problemami lotów kosmicznych („Astronautyka" 1960), a zainteresowania te mają już pewną tradycję w dorobku naukowca, który na dziesięć lat przed wystrzeleniem pierwszego sputnika, w 1947 roku, zastanawiał się nad kwestią ustawienia... sztucznych satelitów Ziemi. Publikacje doc. dr. M. Subotowicza ukazują się w odpowiednich czasopismach radzieckich, amerykańskich, angielskich, włoskich, niemieckich... Jego artykuły skłoniły redakcję „Encyklopedia Britannica" do zamieszczenia informacji o gen. K. Siemienowiczu, polskim artylerzyście z XVII wieku, autorze koncepcji rakiety wielostopniowej.

Równie wyraźnie rysuje się wkład lubelskich naukowców do dorobku krajowej i światowej biologii oraz rolnictwa. Na szczególną uwagę zasługują prace z zakresu mikrobiologii rolniczej, zainicjowane na naszym terenie przez prof. dr. Jadwigę Marszewską-Ziemięcką (i w zmodyfikowanej postaci kontynuowane przez prof. dr. Zbigniewa Lorkiewicza z zespołem), które weszły w ramy Międzynarodowego Programu Biologicznego. Prof. dr Bohdan Dobrzański, do niedawna rektor lubelskiej WSR, a obecnie zastępca sekretarza naukowego PAN, uczestniczył w opracowywaniu mapy gleb Europy, przygotowując materiały dotyczące naszego kraju. Niemałe osiągnięcia, w tym szereg dokonań pionierskich, mają na swym koncie naukowcy, zajmujący się problematyką mechanizacji rolnictwa w ramach odpowiedniej katedry (obecnie Instytut Techniki Rolniczej) Wyższej Szkoły Rolniczej, tacy np., jak prof. dr Janusz Haman, czy doc. dr Jacek Orzechowski. Instytut współpracuje z Europejską Komisją Gospodarczą i Grupą Mechanizacji Rolnictwa RWPG, nie mówiąc już o poszczególnych placówkach naukowych całego kontynentu. Pracownicy Instytutu zasiadają w licznych radach naukowych różnych resortów, często wyjeżdżając za granicę na staże naukowe, praktyki, konferencje i zjazdy.

Niecodzienną formą propagowania lubelskiej myśli naukowej, a zarazem samoistną wyprawą badawczą, okazała się też dalekomorska podróż jachtu „Śmiały" (1966), którą kierował doc. dr Tadeusz Wilgat z UMCS; materialnego wsparcia udzieliły wyprawie m. in. Prezydium WRN i zakłady przemysłu rolno-spożywczego Lubelszczyzny. W czasie 15 miesięcy jacht przepłynął 23 tys. mil morskich, zawijając do 14 krajów. Jednym z zasadniczych punktów programu naukowego wyprawy było sporządzenie mapy hydrograficznej dorzecza Rio Aconcagua, ważnego szlaku o dużej roli gospodarczej, dotychczas nie opracowanego naukowo przez chilijskich badaczy. W tym celu zastosowano metodę kompleksowego badania stosunków wodnych, opracowaną w kraju, przez co zareklamowano ją niejako za granicą.

Niejedna z przedstawionych idei naukowych przekroczyła granice Lubelszczyzny i kraju za pośrednictwem międzyuczelnianego wydawnictwa pt. „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska", wydawanego w dziesięciu specjalistycznych sekcjach, obejmujących wszystkie uprawiane u nas dziedziny nauki. „Roczniki UMCS" docierają do ponad 1000 placówek rozsianych po całym świecie. W zamian za wysyłane egzemplarze biblioteki UMCS, AM i WSR otrzymują łącznie 3 400 tytułów zagranicznych czasopism naukowych. To także świadczy o randze i dynamice lubelskiego ośrodka naukowego, który 25 lat temu zaczął swoją działalność od słynnego już „zgromadzenia na beczkach" w remontowanej sali gimnazjum imienia Staszica, będącego pierwszym ogólnym zebraniem profesorów i asystentów nowo powstałej Alma Mater, z której wyłoniły się później Akademia Medyczna i Wyższa Szkoła Rolnicza.

W nowe ćwierćwiecze lubelski ośrodek naukowy wchodzi z pokaźnym pakietem nowych zadań, równoznacznych — najogólniej rzecz biorąc — z podjęciem szerokich badań w dziedzinach szczególnie ważnych dla gospodarki regionu i kraju. Po pierwsze więc wysiłki kadry naukowej koncentrować się będą na unowocześnieniu rolnictwa, po drugie zaś — w dziedzinie chemii siarki i azotu. Dotychczasowe wyniki działalności naukowej ośrodka pozwalają widzieć te planowe zadania w realnej płaszczyźnie pożytecznych dla całego kraju realizacji.

Tadeusz Graba

Uczelnie bez piedestału

Jerzy Dostatni

DAWNO, niestety dosyć dawno temu — za moich lat studenckich — stosunkowo łatwo można było zidentyfikować każdego młodego człowieka. Ten z tornistrem na plecach był uczniem szkoły powszechnej (podstawowej), ten z teczką i czapką — uczniem szkoły średniej, ten z małą czapką na głowie — niby z natury białą, a przecież wielokrotnie używaną do czyszczenia butów — to był student. Rzadko kiedy dźwigał pod pachą zeszyty czy jakiś postrzępiony skrypt. Niezmiernie rzadko można było spotkać studenta, który przekroczył lat 30. Nawet ci tzw. wieczni studenci, u których rzekoma wieczność oznaczała gdzieś koło 10 lat studiów, nieczęsto nosili wąsiki (nie wąsy), co wówczas oznaczało człowieka już w średnim wieku. Tylko wśród słuchaczy Wolnej Wszechnicy Polskiej można było spotkać częściej ludzi rzeczywiście dojrzałych.

A dziś? Dziś po staremu zwykliśmy nazywać studentami tylko tych, którzy uczą się na dziennych studiach stacjonarnych. To prawda, że jeszcze stanowią oni większość, ale to tylko kwestia czasu, gdy znajdą się w mniejszości. W ostatnich bowiem latach jesteśmy świadkami, także w Lublinie, niezwykle dynamicznego rozwoju studiów zaocznych i wieczorowych. Oczywiście trudno studiować zaocznie medycynę czy fizykę, bo w tych i innych kierunkach konieczne są stałe ćwiczenia w laboratoriach, klinikach, pracowniach. W tej chwili na UMCS ponad połowa studentów to już nie ci, którzy mieszkają w akademikach czy na stancjach, którzy biegają z wykładu na ćwiczenia i do biblioteki. To już nie studenci w tradycyjnym pojęciu, ale ci, którzy studiują jednocześnie pracując — „zaoczniacy".

Zaczęło się dokładnie przed 10 laty. Ówczesny minister szkolnictwa wyższego, po długich zresztą deliberacjach, powołał w Polsce trzy ośrodki — jak to się pięknie mówiło — kształcenia kadr administracji terenowej. Konkretnie chodziło o Zawodowe Studia Administracyjne w Warszawie, Wrocławiu i Lublinie. Najszybciej ze sprawami organizacyjnymi uwinął się ośrodek lubelski, a to dzięki szczególnie wydatnej pomocy władz terenowych, zwłaszcza zaś ówczesnego naczelnika Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN, Józefa Krokosza, dzięki czemu organizator i kierownik (do dzisiaj) tego Studium doc. dr Kazimierz Sand jako pierwszy mógł powiedzieć: vici!

Nie bez kozery użyłem tu łacińskiego słówka. W pierwszych latach pokaźną część studentów (proszę bez cudzysłowu!) ZSA stanowili ludzie, którzy w szkołach średnich uczyli się jeszcze łaciny. Potem było trochę niewyraźnych sytuacji, gdy starszy inspektor jakiegoś wydziału studiował na pierwszym roku, a podległy mu młodszy inspektor na trzecim...

Na ZSA wielu ludzi patrzyło, a i dziś jeszcze patrzy, nieco podejrzliwie — mówi prorektor UMCS doc. dr Wiesław Skrzydło, który w gorącym czasie, tuż przed jubileuszem, znalazł czas na dłuższą pogawędkę z dziennikarzem. — No bo co to za studia wyższe, które nie dają dyplomów magisterskich? To się jakoś nie mieści w tradycyjnych pojęciach. No ale i zakres wiedzy prawniczej na tym Studium jest inny niż na wydziałach prawa. Te ostatnie przygotowują przyszłych adwokatów, sędziów i prokuratorów. W związku z minimalnym wzrostem przestępczości w naszym kraju i zapotrzebowanie na takich prawników jest bardzo małe. Na otrzymanie aplikantury trzeba dziś czekać co najmniej pięć lat — i to udaje się tylko niektórym. Wzrasta natomiast — i w związku ze stałym przekazywaniem uprawnień do rad narodowych niższego stopnia będzie wzrastało — zapotrzebowanie na prawników we wszystkich organach tych rad. Ale prawników innego rodzaju. Nie tych, którzy znają tajniki prawa rzymskiego czy kulisy powstawania kodeksu napoleońskiego, lecz obecnie obowiązujące przepisy, ich prawidłową interpretację, którzy umieją je zastosować w praktycznym życiu.

Tyle na ten temat prorektor. Dziennikarz myśli sobie jeszcze, że ten „rzekomy" student pozna podawany mu zakres wiadomości prawnych znacznie lepiej od „prawdziwego" studenta, bo ma z nim do czynienia na co dzień. No i myśli sobie jeszcze, że czas już, aby Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego załatwiło wreszcie pozytywnie wysuwany od kilku lat postulat, aby dla absolwentów ZSA utworzyć dwuletnie studia magisterskie. Bo jednak, niech tu będę konserwatystą, co magister to nie absolwent.

Na chwałę UMCS należy przypomnieć, że ZSA równocześnie uruchomiono w Rzeszowie, najpierw na zasadzie punktu konsultacyjnego, potem filii. A od 1 października br. w tymże Rzeszowie powstała już, znów dzięki niezwykłej życzliwości tamtejszych władz, jak zresztą i lubelskich, filia całego UMCS. Jeszcze w tym trochę przesady, bo owa rzeszowska filia obejmuje w tej chwili tylko cztery kierunki: ZSA dzienne, ZSA zaoczne, zaoczne Studium Wydziału Prawa dla pracujących oraz Zawodowe Studium Ekonomiczne dla pracujących — za rok lub dwa to ostatnie ma objąć również studia dzienne. W sumie prawie tysiąc studentów! Nic dziwnego, że w perspektywie — chyba niezbyt dalekiej — z połączenia filii UMCS i tamtejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej szykuje się całkiem samodzielny, rzeszowski uniwersytet. Co niewątpliwie oznacza awans dla całego województwa i nie najeżone specjalnymi trudnościami awanse dla tamtejszych młodych a zdolnych naukowców. Lublinowi pozostanie świadomość, że raz jeszcze spełnił trudną rolę matki.

Punkt konsultacyjny UMCS w Zamościu istnieje od 1961 r. Przechodził różne koleje. Pomyślany był głównie dla nauczycieli południowej części województwa, ale były wypadki, że jeździli tam także nauczyciele z samego Lublina. Konsultowano więc w Zamościu kolejno biologię i fizykę, geografię i matematykę, dziś istnieje ZSA i pedagogika.

Dokończenie na str. 4

Pierwsze indeksy słuchaczek Studium Pielęgniarskiego AM

CAF — fot.: J. Trembecki

Kamena str. 3

Podszewka studenckiej kultury

Maciej Podgórski

ŚRODOWISKO studenckie, któremu patronuje lubelska Rada Okręgowa ZSP, „wystawia" 17 zespołów artystycznych, te zaś w ciągu ubiegłego roku kalendarzowego opracowały 89 premier, zaprezentowanych w 441 przedstawieniach (w tym 30 pokazów amatorskiego klubu fotograficznego i 2 ekspozycje studenckiej grupy plastyków). Wśród przedstawień 195 odbyło się poza siedzibą zespołów (w czym 72 na wsi). Wszystkie te imprezy obejrzało ogółem 198 500 widzów (57 100 na wsi). Zespoły liczą 532 członków. W roku bieżącym cała ta sytuacja kształtuje się podobnie.

Czy są to liczby imponujące w skali ogólnopolskiej, jeśli idzie o studencki ruch artystyczny, trudno zdecydowanie orzec, bo brak mi tzw. danych porównawczych. Ale raczej napawają one optymizmem, skoro na IV Festiwalu Kultury Studentów (17 XI 68 r. — 11 V 69 r.) ośrodek lubelski oficjalnie został uznany za najlepszy w kraju — w kategorii ośrodków wielouczelnianych.

Nawet jeśli w związku z obchodami 25-lecia, którego początkiem była przecież Rzeczpospolita Lubelska, weźmie się pod uwagę sprzyjającą aurę społeczną dla Lubelszczyzny w ogóle, to i tak osiągnięcia na rzeczonym festiwalu stanowią sukces nie lada. Tym więcej, iż jury uwzględniało nie tylko poziom imprez finałowych w Krakowie, lecz również niejako terenową skuteczność pracy zespołów.

Jest więc z czego się cieszyć? Jest — i słusznie. Tyle jedynie, że wymienione skucesy, które zresztą w odniesieniu do paru zespołów można by mnożyć, nie wyznaczają całej prawdy o lubelskim wycinku studenckiej kultury. Tak samo nie wyznaczają jej przedstawione liczby, wręcz przeciwnie — już sam bilans cyfrowy kryje wielce znamienne zjawiska, każące myśleć o przysłowiowym zanurzeniu pływającego lodowca.

W stosunku do liczebności całego ośrodka odsetek członków zespołów, tj. osób aktywnie uczestniczących w ruchu artystycznym, jest niewielki. Tym bardziej, że — jak powiada przewodniczący Komisji Kultury RO ZSP, Zdzisław Mazur — odczuwa się również pewien niedostatek szerszego, odpowiednio wyszkolonego i stałego aktywu działaczy kultury, już raczej więcej jest materiału na „artystów" niż organizatorów. Dalej — tę imponującą statystykę „robią" głównie istniejące od dawna, doświadczone zespoły, pracujące najczęściej pod okiem fachowych instruktorów czy kierowników. Słynny „Gong-2" oraz „Dren 59" — w sumie około 60 członków, 83 przedstawienia, 36 000 widzów. Równie sławetny „Zespół Tańca Ludowego UMCS" — 114 członków, 120 występów, 150 000 widzów. Do tej grupy zalicza się też 60-osobowy „Zespół Pieśni i Tańca WSR".

Już stąd widać, że minęły czasy, kiedy środowisko studenckie było terenem spontanicznych, ciągle narastających, nowych inicjatyw w dziedzinie amatorskiego ruchu artystycznego, inicjatyw wprawdzie niekiedy krótkotrwałych, ale zdolnych wywołać ferment środowiskowy, inspirować nowe pomysły i pozyskiwać nowych ludzi. Ta diagnoza ma chyba znaczenie szersze. Z tamtych to zresztą „dobrych czasów" pochodzą niektóre, czołowe dziś, zespoły studenckie Lublina. Wszelako działalność owych zespołów uległa pewnym przeprofilowaniom, została ukierunkowana bardziej „na zewnątrz", zyskała nachylenie nieco profesjonalne. Swiadczy o tym liczba przedstawień poza siedzibą, nastawionych głównie na regularnego widza z miast i wsi Lubelszczyzny, całego kraju, czy nawet zagranicy.

Tę sytuację pogłębia fakt, że nad kulturą studencką, podobnie zresztą jak i nad kulturą organizowaną w plonie związków zawodowych czy wydziałów kultury rad narodowych, zawisa widmo planowania wydatków na zasadzie: „ma" równa się „winien". A m. in. właśnie na poły profesjonalna działalność czołowych agend kulturalnych lubelskiego środowiska studenckiego musi dostarczyć tantiem dla przedsięwzięć, które ich przynieść nie mogą, ale które są równie ważne, choć może mniej sprawdzalne, jak sukcesy zewnętrzne renomowanych zespołów. Dotacje bowiem, choć pochodzą z rozmaitych źródeł, nie stanowią regularnej pozycji budżetu, są zresztą przeznaczane głównie dla... zespołów.

Co więc robić w sytuacji, kiedy trzon amatorskiego ruchu artystycznego studentów z konieczności traci kontakt z własnym środowiskiem, kiedy „Gong-2" lub zespół Stanisława Leszczyńskiego wojażują po kraju i świecie, zdobywając laury i sławiąc imię polskiej kultury na poważnych imprezach: w Parmie, Nancy, Zagrzebiu, Istambule, Dijon, Paryżu, Kiszyniewie, Debreczynie, ale równocześnie przestając odgrywać szerszą rolę w kształtowaniu studenckiej kultury na miejscu, jeśli pominąć nabór nielicznej grupki wysoce utalentowanych wykonawców?

Nie zamierzam nawoływać do powrotu w heroiczne czasy drugiej połowy lat pięćdziesiątych, bo ogólna sytuacja studiującej młodzieży jest dziś nieco inna. Z podobnych przeświadczeń wyszła chyba uchwała VII Kongresu ZSP, mocno stawiająca problem „realizacji programu upowszechnienia kultury kształtującego u absolwentów wyższych uczelni umiejętność wyboru wartościowych ideowo i artystycznie treści jako zasadniczy cel działalności kulturalnej".

Sformułowanie to jest nieco ogólnikowe, bo i takie być musi. Ważne jednak, iż sam problem został postawiony. Realnie zaczyna się on już na szczeblu komisji kultury rad okręgowych ZSP i na szczeblach odpowiednio niższych, są to bowiem jedyne spośród organów studenckich, które zajmują się wyłącznie i programowo kulturą sensu stricto. Obok więc windowania poziomu nielicznej w końcu grupy wykonawców oraz podtrzymywania — istniejących w cieniu „wielkich" — zespołów skromniejszych, trzeba przede wszystkim zająć się wychowaniem aktywnego i świadomego konsumenta dóbr kulturalnych, skoro masowy pęd do tworzenia zespołów bitowych — nowe zjawisko w życiu młodzieży nie tylko studenckiej — nie może zostać zaspokojony, bo wymaga zbyt wielkich nakładów finansowych (astronomiczne wprost koszta aparatury).

Przed komisjami kultury odpowiednich rad ZSP w Lublinie problem ten ukazuje się ze szczególną ostrością. W związku bowiem z rejonizacją ośrodków akademickich student lubelski pochodzi głównie z terenów kulturalnie nie stojących w każdym razie na pierwszych miejscach w kraju, na które to tereny — w myśl przepisów o zatrudnieniu — wróci po odbyciu studiów. Chodzi więc o to, by wrócił bogatszy niż przyszedł, i to bogatszy nie tylko w wiedzę fachową, lecz również odpowiednio wyposażony w umiejętność przyswajania i korzystania z wartości kulturalnych.

I tutaj zaczynają się rozmaite kłopoty, ale też i sprawdzone pozytywnie formy pracy. O brakach kadrowo - organizacyjno - szkoleniowych już mówiłem. O delikatnej kwestii finansowej także, choć nie wiem, w jaki sposób może ona być radykalnie rozwiązana, wiem natomiast, że trzeba starać się rozsądniej gospodarować już istniejącymi środkami. Gdzieś tu w każdym razie wyłania się struktura błędnego koła, skoro, aby rozumnie popularyzować, trzeba wpierw na to zarobić, a żeby zarobić, należy — na przykład — permanentnie organizować wieczorki taneczne, które nie za bardzo mieszczą się w pojęciu rozumnej popularyzacji ambitnych wartości kulturalnych. I tak, dajmy na to, w klubie „Mucha" (blok „B") w okresie 1 XI 68—27 V 69 r. pośród 22 imprez odbyło się aż 13 rozmaitych potańcówek.

W ogóle sprawa ożywienia pracy i odpowiedniego wyposażenia klubów, mieszczących się w domach akademickich, wymaga szczególnej uwagi. W dzielnicy akademickiej jeden telewizor przypada aż na 500 mieszkańców, o psującym się radiowęźle już nie wspominam. Tak samo „Chatka Żaka", istniejąca w centrum dzielnicy, nie jest właściwie wykorzystywana na cele kulturalne (poza jedyną salą widowiskową).

Ostatnie kwestie prowadzą nas w kierunku specyfiki środowiska. Nie idzie jednak o to, by tworzyć nowe czy choćby tylko pielęgnować istniejące podkultury młodzieżowo-studenckie. Idzie o to, by zorganizować, posiadającą stały program, instytucję pośrednika w upowszechnianiu kultury dostępnej w organizmie miejskim, gdzie znajduje się środowisko studenckie. Podstawową specyfiką organizacyjną winno być uwzględnienie po prostu trybu studenckiego życia (rytm zajęć uczelnianych, miejsce zamieszkania itd.). Również uwzględnienie stanu, by tak rzec, świadomości kulturalnej „nowych" studentów.

Dlatego obok niedostatków pracy klubowej w domach akademickich i w „Chatce Żaka", co martwi, trzeba wymienić inicjatywy wychodzące „na miasto", które cieszą, a także inicjatywy z zakresu „pracy u podstaw", jak choćby Studium Wiedzy Estetycznej, które koniecznie należy reaktywować. Spośród tych pierwszych — przykłady tylko: „premiery studenckie" w Teatrze Osterwy, współpraca z miejscową Filharmonią (ulgowe abonamenty), współpraca z lubelskim BWA, aczkolwiek lokalni plastycy zbyt nie palą się do kontaktów ze studentami.

Te wypróbowane formy popularyzatorskiej roboty trzeba kontynuować, z większą tylko dbałością o należytą reklamę własnych poczynań. Piszę wciąż: trzeba, należy, warto — ale o tym przecież wiedzą działacze z Komisji Kultury RO ZSP, niechby się jednak dokładniej o tym przekonali organizatorzy z tzw. szczebli niższych. W końcu zaś można by sobie życzyć znalezienia funduszów na bardziej jednak atrakcyjne i nowatorskie formy pracy upowszechnieniowej. Nie wolno bowiem całego problemu sprowadzać do tego, by fakt artystyczny zostawał studentowi podawany tylko w ściśle określonych i skonwencjonalizowanych sytuacjach, fakt artystyczny musi niejako przesycać swoją obecnością codzienne życie studenckiego środowiska.

— To dyrektor Kołodziej może sobie pozwolić na plenerową wystawę rzeźby, nas w miasteczku uniwersyteckim na to nie stać — mawiają działacze z komisji kultury. W tej skali problemem owym mogą się jednak zająć przede wszystkim odpowiednie instancje administracyjne.

Autorami publikowanych wierszy są poeci-studenci lubelscy. Mamy nadzieję, że ta pierwsza zbiorowa publikacja w „Kamenie" zachęci młodych poetów do trwalszej współpracy z naszym pismem.

Aleksander Migo

Medea

Oto wyznaję, zabiłam tak trafnie,
że nikt z was nie wie gdzie pęknięcie wody
Żaglom trójkątnym powierzyłam gwiazdę
Dłonie swe zlałam oliwą obficie.

Nawa wysmukła szybko ślad zatarła
a stół wasz pełen był trackiego wina
Nim garb niebieski zrębem dotknął fali
już gardła wasze były zachowane.

Słuchajcie wszyscy: jam tylko zabiła
młodszego brata, lecz nie lżyłam bogów
nie pokalałam też oliwnych liści
ni ziemi pełnej poczerniałej stali.

Odrzućcie zemstę, jam was ocaliła
Granicę śmierci odsunęły fale.
Niech niewolnica strój weselny poda
Niech trackim winem kielichy się pysznią.

Stanisław Rogala

Spowiedź

Oczy moje porwał poranek cieni
kłębiących się wirem ognia
i syn odeszłych chwil,
kiedy blaskiem chciałem
opowiedzieć Was
i zaróżowić
krainy naszego wstydu

Józef Osmoła

pytania niedojrzałe

dobrzy ludzie wymyślili pacierz
bogu świeczkę a sobie potrawę
trochę lęku
ażeby nie było tak śmiesznie

gdzie w końcu jestem
o jakiej dnia porze
w dolinę mroku schodzę nieustannie
jakie modlitwy układam na trwogę
jakim się bogom kłaniam uniżenie
i jakim kłamstwom zaufałem chętnie

o — dobrzy ludzie wymyślili pacierz
wiedzą ze słowo
bywa nazbyt śliskie

Andrzej W. Pawluczuk

Jeszcze dziś

W ciemnym pokoju
powoli
dojrzewam do umierania

Czułość —
zgięty ruch
pulsujących dłoni
gaśnie
kuli się

...popadam w dziwną chorobę...

Jeszcze dziś
przestanę udawać
człowieka

Rys. Dominik Opolski

* * *

Nikt nie jest pewien ucieczki ostatniej —
— Pomiędzy słowem szeptanym tak hojnie
Jak w dzień modlitwy wygaszonej szybko —
Gdzie Każde Morze ma swój przypływ czuły
W ziemię stygnącą jak otwarty owoc
Skąd tylko jeden oddech w stronę głodu.

A tam — gdzie rzewne ciosanie milczenia
Muszą ostatnie dotknienia wygasić
I z dłoni zlizać skulony kształt wiatru:
Też tam — gdzie trwało ich pełzanie skryte.

Lecz gdzie schowana jest cisza powietrza?
W jakim powrocie południa umiera
Z twarzą zamkniętą w krokach rozproszonych?

Uczelnie bez piedestału

Dokończenie ze str. 3

Ale to nie zaspokaja potrzeb i ambicji ani uczelni ani Zamojszczyzny w szerokim pojęciu. Więc w ostatniej fazie dyskusji znajduje się projekt uruchomienia w tym zabytkowym mieście zamiejscowego Wydziału Historii Sztuki i Kultury. Pierwsza część — lub pierwszy wydział — przede wszystkim dla przyszłych historyków sztuki i konserwatorów, którzy będą mieli na miejscu jakże wspaniałe laboratorium w postaci całego miasta, druga część (lub drugi wydział) dla działaczy towarzystw regionalnych, domów kultury, muzeów, nawet izb pamiątek. Może już za rok...

Czwarty rok działa już punkt konsultacyjny zaocznych studiów ekonomicznych w Tarnobrzegu. Współpraca UMCS z zagłębiem siarkowym zaczęła się zresztą znacznie wcześniej przed uruchomieniem pierwszej kopalni. Pracownicy naukowi katedr geografii i fizyki wnieśli duży wkład w samo uruchomienie zagłębia. Stąd współpraca do dzisiaj jest żywa i dla obu stron owocna.

Trzeci rok czynne jest wieczorowe Studium Chemii w Puławach. Są to właściwie studia typu politechnicznego o rozbudowanej części technologicznej, stąd pokaźna liczba wykładowców z tamtejszych Zakładów Azotowych, no i studenci stamtąd właśnie się rekrutujący. Interes widać jest obopólny, bo Zakłady Azotowe fundują UMCS w Lublinie wielki gmach chemii, co już kosztuje ponad 50 mln zł. Takich prezentów nikt na piękne oczy nikomu nie robi.

No i wreszcie Wyższe Studium Nauczycielskie w Białej Podlaskiej jako filia UMCS, czynne zaledwie od miesiąca. Jest tam czynny tylko pierwszy rok, ale możliwości kadrowe wskazują, że rozwój tej placówki będzie następował szybko. Podobnie, na zasadach filii, ma być rozwiązana sprawa przyszłej Wyższej Szkoły Pedagogicznej na LSM w Lublinie.

A przecież to nie koniec ekspansji lubelskiego ośrodka naukowego. Studia zaoczne i eksternistyczne prowadzi Wyższa Szkoła Rolnicza, ma swoje stałe punkty konsultacyjne przy fabrykach w Kraśniku Fabrycznym i Poniatowej Wyższa Szkoła Inżynierska, Akademia Medyczna uruchomiła właśnie pierwsze w Polsce Wyższe Studium Pielęgniarskie.

Istota zaś polega na tym, że nasze cztery wyższe uczelnie zeszły z przedwojennego piedestału tzw. czystej nauki, dostępnej tylko dla wybranych, posiadających odpowiednie środki materialne — natomiast i naukę i dydaktykę sprowadziły do aktualnych i przyszłościowych potrzeb swoich środowisk. Weszły w życie codzienne społeczeństwa, zdemokratyzowały się — w najlepszym rozumieniu tego słowa. Sukcesem jest właśnie to, że wyższa uczelnia przyszła do fabryk, do miast, miasteczek i gromad, że tematy badań naukowych profesorów i docentów, jak również prac doktorskich czy magisterskich, w coraz większym procencie są związane z potrzebami dnia codziennego i perspektywami rozwoju w latach najbliższych.

Jerzy Dostatni

Skąd się biorą „dzieci—kwiaty"

Dokończenie ze str. 1

łeczeństwa na problemy mieszkaniowe: hippiesi — prawnicy powołują się na ustawę sprzed kilkuset lat, głoszącą, że nie można wobec aresztowanych stosować sankcji karnych, jako że nie zajęli oni cudzej własności siłą, a dostali się do dawno nie zamieszkanych domów przez pozbawione szyb okna. Z kolei policja ma nadzieję udowodnienia, iż w zajętych pomieszczeniach palono narkotyki, co mogłoby być podstawą do oskarżenia hippiesów o zorganizowanie tam nielegalnych palarni haszyszu, LSD czy marihuany. Niezależnie jednak od tego, jak się dalej potoczą wypadki, należy stwierdzić, że Wielka Brytania staje wobec skomplikowanego problemu młodzieżowego, zarazem — społecznego. Warto przy tym bliżej przyjrzeć się „fenomenowi hippy", coraz dobitniej uwypuklającemu się w wielu krajach zachodnich.

•

6 stycznia 1968 r. znany tygodnik ilustrowany „Paris Match" zapoczątkował cykl artykułów o nowym fenomenie młodzieżowym, powstałym niedawno w Stanach Zjednoczonych — grupie młodzieży zwanej *hippies*. „Paris Match" znany jest bardziej z doskonałego serwisu fotograficznego niż ze względu na uprawianą w tym piśmie publicystykę, toteż przeniesiona za jego pośrednictwem na kontynent europejski wiadomość o hippiesach miała wszelkie cechy sensacji, rozdmuchiwania marginesowego, powstałego w Kalifornii, zjawiska. O wiele bardziej istotny mógł się wydawać wyrosły na amerykańskim kontynencie problem *Hell Angels* („Piekielnych Aniołów") — rozwydrzonych wyrostków w czarnych skórzanych kurtkach z wizerunkiem czaszki, przemierzających wielkimi grupami Stany Zjednoczone na szybkich motocyklach i wywołujących dzikie awantury w małych, leżących na uboczu miasteczkach, z podpalaniem domów i porywaniem miejscowych dziewcząt włącznie. Niekiedy kojarzono *Hell Angels* z ruchem beatników, owych „młodych gniewnych" ludzi, rekrutujących się przecież najczęściej ze środowisk artystyczno-intelektualnych, podczas gdy „Piekielne Anioły" wywodziły się głównie z lumpen-proletariatu. W każdym razie jedni i drudzy mieścili się w pewnych utartych pojęciach Europejczyków o amerykańskiej młodzieży, dla których Stany Zjednoczone kojarzą się najczęściej z ekspansywnością, przemocą i polityką siły. Zatem i beatnicy i Hell Angelsi byli w pewnym sensie zjawiskiem logicznym, nie pozbawionym podstaw.

Tymczasem hippiesi, „dzieci-kwiaty", mieli być społecznością łagodną, odżegnującą się od wszelkich militarystycznych atrybutów, opowiadającą się za ogólnoświatowym pokojem, nienawidzącą przemocy i gwałtu. Jednym z charakterystycznych „znaków rozpoznawczych" stały się kwiaty, które nie tylko w formie wzoru zdobiły ich ubiory, ale były również podczas pokojowych demonstracji wręczane atakującym policjantom. Prowadzili życie nomadów, wielu uciekało z miast na głęboką prowincję, gdzie wchodzili w zażyłość z Indianami, inni opanowywali całe dzielnice San Francisco czy Los Angeles, żyjąc grupowo w ubogich, często opuszczonych, jaskrawo pomalowanych przez siebie budynkach, tworząc swoiste komuny, paląc narkotyki, głosząc wolność seksualną, nierzadko przymierając głodem, bo praca była dla nich pojęciem odległym. Wielu fascynowały religie Dalekiego Wschodu, przede wszystkim buddyzm i hinduizm. Prasa publikowała coraz więcej zdjęć młodych ludzi o długich włosach, oddających się kontemplacji na ulicach miast lub w buddyjskich czy hinduistycznych świątyniach, przejętych wegetarianizmem i ćwiczeniami yogi.

Wszystko to nie przeszkadzało owej młodzieży pasjonować się muzyką rock and rollową, wydawać resztek pieniędzy na płyty z nagraniami ulubionych zespołów i piosenkarzy. Więcej, owe zespoły i piosenkarze stawali się swego rodzaju leaderami, prowadzącymi swych entuzjastów w jakimś niezbyt dokładnie sprecyzowanym kierunku. Zespoły muzyczne żyły niekiedy z hippiesami w swoistej symbiozie, niektóre z nich prowadziły „domy otwarte", goszcząc w swych willach co bardziej wynędzniałe *flower-children*, zapraszając na posiłki czy udostępniając pomieszczenia kąpielowe. Bożyszczami młodzieży były z jednej strony zespoły muzyczne, wchodzące w skład szerokiego nurtu, w którego ramach zawarły się takie formy, jak *psychodelic* czy *underground* — jak i tak zwani *folksingers*, wykonawcy ludowych ballad, protest-songów, wskazujących na istniejące zło społeczne — Bob Dylan, Joan Beaz czy Barry Mc Guire. Szczególnie Bob Dylan, autor i wykonawca licznych *finger-pointing songs* (pieśni oskarżycielskich wskazujących na jakiś problem polityczny, społeczny) stał się głównym idolem hippiesów.

Pozornie dziwacznie brzmiące nazwy niektórych zespołów muzycznych — *Grateful Dead* („Wdzięczny nieboszczyk") lub *Big Brothes and Holding Company* („Wieki Brat i Spółka Akcyjna"), świadczą jednak, po bliższym przyjrzeniu się twórczości tych zespołów, o ich swoistym „zaangażowaniu", o ironicznym stosunku do wielu aspektów amerykańskiej rzeczywistości. Piosenka Donovana *Universal Soldier* („Uniwersalny żołnierz") z 1966 r. powstała jako krytyka zbrojnego angażowania się USA w wojnę w Wietnamie. Podobnie przedstawia się sprawa z piosenką Barry Mc Guire'a — *Eve of destruction* („Wigilia zniszczenia").

Jeśli zaś wrócić do głównych odbiorców tej twórczości, do hippiesów, to zadziwiający był fakt, że rekrutowali się oni przeważnie z rodzin dobrze sytuowanych, że uciekająca z zamożnych domów młodzież, przekładająca niedostatki „wolności" nad zmechanizowaną wygodę ogniska domowego, nie przekraczała na ogół wieku 25 lat.

W ciągu następnych miesięcy prasa mało uwagi poświęcała hippiesom. Na świecie zaszło w tym czasie wystarczająco wiele poważnych wypadków, ażeby miano zajmować się fantazjami młodzieży w USA. I również zapowiedź hippiesowskiej „krucjaty", jaka miała wyruszyć do krajów Europy zachodniej, przeszła — nawet w żądnych sensacji popołudniówkach — prawie bez echa.

Tymczasem w połowie 1969 r. hippiesi przypomnieli o sobie i to w sposób dobitny. W dniach 15—17 sierpnia, w niewielkiej miejscowości Bethel pod Nowym Jorkiem, zorganizowali oni Festiwal Muzyki i Sztuki, zapowiadany też przez organizatorów jako Ekspozycja Muzyki i Pokoju. Festiwal zgromadził ponad 400 tys. uczestników, a jak twierdzili obserwatorzy, gdyby trwał dłużej i gdyby policja nie zablokowała dróg dojazdowych, do Bethel przybyło by około miliona hippiesów. Zgromadzona młodzież przez trzy dni biwakowała na farmie Maxa Jasgura, oglądając występy zespołów muzycznych, słuchając protest-songów, paląc narkotyki. Poważny „Time" początkowo pobłażliwie przyglądający się przygotowaniom do festiwalu, musiał później w artykule z 29 sierpnia stwierdzić: „Jako publiczna manifestacja potęgi, siły przyciągania i mocy osobliwej kultury młodzieży amerykańskiej lat sześćdziesiątych, zostanie on (festiwal) zapewne zaliczony do najdonioślejszych politycznych i socjologicznych wydarzeń stulecia".

Oczywiście to wielka przesada, a i trochę sensacyjność, której nawet „Time" nie mógł sobie zaoszczędzić. Niemniej jednak nie można nie podkreślić faktu, że już wkrótce, w dniach 29—31 sierpnia, w odległej o tysiące kilometrów od Stanów Zjednoczonych Anglii eksplodowała następna hippiesowska bomba — podobny festiwal, zorganizowany na wyspie Wight z udziałem Boba Dylana, rodzimych Rolling Stonesów i szeregu innych angielskich zespołów muzycznych, który zgromadził prawie 200 tys. osób. Znaleźli się wśród nich poza Brytyjczykami Amerykanie, Skandynawowie i Niemcy z NRF. I znów trzy dni upłynęły na słuchaniu muzyki, manifestowaniu pokojowych przekonań, paleniu narkotyków. I znów, ku zdziwieniu opinii publicznej, impreza odbyła się w miarę spokojnie. W miarę spokojnie, a nawet z pewnym zainteresowaniem — może z uwagi na tak wysoko sobie w Anglii cenione „wolności obywatelskie" — przyjęła też opinia publiczna wieści o festiwalu. Poruszyć ją do głębi i oburzyć miała dopiero wiadomość o hippiesach-skwaterach. I teraz dopiero Anglicy (jak poprzednio Amerykanie) nie tylko dostrzegli rodzimych hippiesów, od dłuższego już przecież czasu krążących po ulicach Londynu, ale zostali zmuszeni do poważnego zastanowienia się nad problemem, który niedawno lapidarnie sformułował jeden z socjologów amerykańskich, pisząc o hippiesach: „Wypowiedzieli oni wojnę współczesnej technice i stworzonej przez nią cywilizacji. Z zadziwiającą łatwością i przekonaniem o swojej racji, dzieci dostatku zgłosiły chęć życia według innych niż ich rodzice norm etycznych".

•

Kim są hippiesi i właściwie o co im dokładnie chodzi? Odpowiedzieć na to niełatwo, bo (znowu — zdanie obserwatorów amerykańskich) „jest to młodzieżowy ruch polityczny, w którym zabrakło męża stanu, lub ruch religijny, w którym nie ma mesjasza". Ogólnie rzecz biorąc, jest to wielka grupa młodzieży z krajów kapitalistycznych o wysokiej stopie życiowej, młodzieży kończącej obecnie szkoły średnie lub w wieku studenckim, a wywodzącej się głównie ze środowisk burżuazyjnych. Pozycję satelitarną zajmuje wśród nich pewien odłam młodszych wiekiem artystów, mających zresztą bardziej na uwadze zapewnienie sobie tą drogą rozgłosu, niż przejętych ideałami hippiesowskimi (przykładem choćby jeden z Beatlesów — milioner John Lennon i jego żona, japońska aktorka Yoko Ono). Znikomy odsetek stanowi młodzież pochodzenia robotniczego.

Również nie jest dokładnie ustalone skąd wywodzi się sama nazwa — *hippy*. Być może od angielskiego słowa *happy* — szczęśliwy, lub od amerykańskiego wyrażenia slangowego *hipped* — zwariowany na punkcie czegoś. Zresztą obydwa te określenia pasowałyby do „dzieci-kwiatów": hippies są „zwariowani" na punkcie szczęścia, szczęścia innego niż to, jakie im proponuje model kulturowo-cywilizacyjny, stworzony przez ich rodziców: pogoń za pieniądzem, za coraz większym zyskiem, wykluczające siłą rzeczy jakiekolwiek inne przyjemności poza zapewnieniem sobie dóbr materialnych. Gdzie każdy zarobiony grosz przelicza się skrzętnie na nowy, jeszcze lepszy samochód, na jeszcze nowocześniejsze wyposażenie kuchni, na jeszcze lepszy telewizor. Posiadanie lepszego samochodu prowadzi do zapewnienia dzieciom lepszego mariażu, a lepszy mariaż pozwoli dzieciom na kupienie jeszcze lepszego samochodu. Nie wolno pozwolić sobie na chwilę wytchnienia, bo od razu spada się na giełdzie o kilka punktów niżej. Przy tym systemie młodzi nie mogą sobie pozwolić na rozrywki kulturalne, bo ich na to nie stać, starsi pieniądze już mają, ale z kolei brak im czasu, ponieważ muszą robić dalsze pieniądze. I właściwie czas na odpoczynek przychodzi z chwilą położenia się do trumny.

Efekt jest taki, że dzieci zaczynają uciekać od własnych rodziców, pozbawionych już jakichkolwiek idei poza ideą pieniądza i próbują odnaleźć szczęście w warunkach całkowicie przeciwstawnych. Odrzucają dobra materialne, próbują oddać się prostemu życiu na łonie natury. Siły do realizowania swych zamierzeń ma im dodawać m. in. palenie narkotyków. (Ale narkotyki to już cały odrębny problem młodzieżowy, dotyczący nie tylko hippiesów). W przeciwieństwie do starszego pokolenia, które nie uprawia życia towarzyskiego, bo nie ma na nie czasu — młodzież znajduje przyjemność w życiu gromadnym. „Bycie razem", braterstwo, wzajemna pomoc, to naczelne hasła głoszone przez hippiesów, hasła, które we współczesnym społeczeństwie kapitalistycznym stały się już odległymi pojęciami. Wynaturzone przez rodziców pojęcie pracy prowadzi do całkowitej negacji jej wartości przez dzieci. (Poza najniezbędniejszymi czynnościami pozwalającymi na przeżycie dnia). Związana z kultem pieniądza polityka siły i ciągła ekspansja militarna, szczególnie jaskrawa na przykładzie wojny w Wietnamie, rodzi nastroje antymilitarystyczne, chęć opowiadania się za pokojem.

Hippiesowskie „szczęście" jest jednak bardzo kalekie. „Filozofia" szczęścia tylko na zasadzie protestu i negacji jest raczej filozofią rozpaczy i nihilizmu. A w każdym razie hippiesi są w położeniu, które można nazwać rozpaczliwym. Negując i protestując, biernie wyczekując ogólnoświatowego pokoju, pozostają jednak pod całym ciężarem balastu pojęć i przekonań, w których wzrastali od dziecka, a od których nie potrafią się uwolnić. Przypominają ludzi, którzy zaraz na początku podjętej pracy opuścili ręce i stanęli bezczynnie. To też „zasługa" rodziców i systemu.

W tej sytuacji nieprzypadkowo narodziło się wśród hippiesów wielkie zainteresowanie religiami Dalekiego Wschodu, głównie hinduizmem, a szczególnie jego zwulgaryzowaną formą — ramakrisznaizmem, który, dzięki ożywionej zagranicznej działalności Vivekanandy, ucznia znanego mistyka hinduskiego Ramakriszny, zyskał sobie na początku bieżącego stulecia wielu zwolenników w Stanach Zjednoczonych. (W Nowym Jorku istnieje od dawna i prowadzi aktywną działalność *Ramakrishna Mission*, zakładająca szpitale i sierocińce oraz świątynie kultu boga Kriszny, a także wysyłająca licznych *swami* (misjonarzy) do innych krajów). Ramakrisznaizm nawołuje między innymi do tolerancji, pokoju i łagodności, przypisuje wielkie znaczenie kontemplacji, zaleca rezygnację z dóbr materialnych. Atrakcyjny dla hippiesów jest także mit związany z osobą Kriszny, który występuje jako bóg łagodny, wiele lat spędza wśród prostego ludu jako pasterz, będąc znany jednocześnie z bujnego życia erotycznego. Przekazy literackie odmalowują ten okres życia Kriszny jako sielankowy. Podobno na dźwięk jego fletu, rozlegający się w dolinach, podążały tam całe gromady zakochanych pasterek.

Wszystkie te okoliczności jak najbardziej odpowiadają „zbuntowanej" młodzieży. Dając ujście tęsknotom za wyzwoleniem się od burżuazyjnego modelu życia, wychodzą jednak naprzeciw atmosferze seksualizmu, w której od pewnego czasu wzrasta (i którą akceptuje) pokolenie młodych Anglików, Amerykanów czy Szwedów.

Dążąc do naiwnie wyimaginowanego ideału szczęścia, znaczna część hippiesów zdaje sobie jednak sprawę, że na dłuższą metę jest to rzecz niemożliwa do zrealizowania. Przyjęli więc postawę „weekendowych" hippiesów. W ciągu tygodnia uczą się i pracują, a tylko w sobotę i niedzielę oraz w czasie wakacji włączają się do społeczności „dzieci-kwiatów", traktując to jako rodzaj przygody. Inni, a jest ich bardzo liczna grupa, zmęczeni trudami „idealnego" życia, wracają na łono rodziny.

Amerykanin Teodor Roszak, wypowiadając się o *flower-children*, stwierdził dość pompatycznie: „Rewolucjoniści z Bethel przypominają poniekąd pierwszych chrześcijan, którzy z przyczyn religijnych odrzucili chwałę Grecji i wielkość Rzymu i tak przynieśli zgubę imperium pogańskiemu, a potem zbudowali nowe. Lecz nowe formacje nie niosą ze sobą gwarancji powodzenia, a rewolucja, oparta na braku rozsądku, może przynieść raczej Epokę Barbarzyństwa niż Nowe Jeruzalem".

Oceniając zaś rzecz całą bardziej spokojnie należy stwierdzić, iż niezależnie od całej żywiołowości i złożoności, ruch hippiesów jest zjawiskiem pobocznym i to nie od hippiesów zależy, jak się będą dalej kształtowały stosunki społeczno-polityczne w Stanach Zjednoczonych czy też w innych krajach kapitalistycznych. Hippiesi są natomiast jednym z dowodów, świadczących o rozkładzie współczesnych społeczeństw kapitalistycznych.

Mirosław Derecki

Jerzy Chłodnicki

z własnego podwórka

moje podwórko pachnie niebieskością
dwie grządki dymią ośnieżonym latem
piwnica skrywa korzenie powietrzu
a księżyc śpi pod studni blatem

daty spotkania z żywymi nie pamiętam
podwórko już wtedy odpoczywało
słoneczniki płoszyły muchy wiatrem
a okna piły wina gałąź

kamyki bawiły się ze mną w budowę
maliny prosiły o uśmieszek
stawiałem kroki na wołanie domu
a motyle siały na mej główce sen

teraz inaczej gada do mnie podwórko
dzieciństwa kolor zszarzał z gruszą krzywą
tak jak i ja spopieliłem skroń siwą
bo i babki już nie ma ni domu z figurką

na cmentarz

na cmentarz droga prowadzi przez piekło
piekło piekłu nie jednakie
w moim miasteczku są domy na piekle
i bardzo fajne chłopaki

domy kucnęły przy pagórku
zasypała je zieleń
nocą ulicą szwedzką z majówki
wracają narzeczeni

sowy kapliczne huczą wieczorem
szumi im rzeka z cmentarzem
i jakoś dziwnie czuje się człowiek
gdy echo kroki powtarza

Lublin

Stanisław Matys

wyrąb lasu

sen mój pełny słodkich malin
przecięła piła
wyrąb lasu coraz bliżej
uciekam
z igliwiem w szorstkich kudłach
w oczach błysk siekiery
dźwigam
sen mój
bardzo gorzki
od płaczu smukłych saren
w rzeźni miejskiej
czerwienieją polele skwierczą
gdy las
coraz dalej
w kalinowy róg przygrywa
sen mój rzewny
ściele
zbutwiały zapach legowiska

arc poetica

koturny za progiem
jabłecznikiem w pokoju
fermentuje stół
a ja szatkownica
klasycznym gestem apasza
udrapowanym muzom palce ucinam
moją matkę to boli
ona jest bohaterką
białych włosów
rąk spracowanych
mówi do mnie
stasiu
dlaczego
kwaśny jesteś okrutnie
posprzątaj ze stołu

Białystok

Śledztwo w sprawie życia

Ireneusz J. Kamiński

NIEDŁUGO północ. Lublin śpi już na dobre. Tylko kolejarze, milicja, pogotowie ratunkowe, lekarze w szpitalach i trzecie zmiany w kilku fabrykach nadal pracują. Potoczna opinia uzupełniłaby zapewne ten rejestr ludzi, którym noc miesza się z dniem, o kilka co najmniej grup zawodowych. Ale czy znalazłoby się w nim miejsce dla mikrobiologów? Należy wątpić.

A tymczasem mija północ, dochodzi pierwsza a w oknach drugiego piętra Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS nadal pali się światło. To pracuje pierwsza i jedyna zmiana Katedry Mikrobiologii Ogólnej. Od dziesięciu, dwunastu, piętnastu i więcej godzin. Oczywiście nie wszyscy i nie zawsze tak długo. Ale wyjątkowo tylko poniżej dziesięciu godzin. Od kilkunastu już lat, od chwili kiedy zaintrygowało ich niesforne maleństwo o wymiarach 0,5 na 3 mikrony. Śledzą je, badają postępki i właściwości, gromadzą przesłanki do wyroku: natura stworzyła cię takim, jaki jesteś, ale my przekształcimy cię w najlepsze z możliwych. Nie dosypiają, zrezygnowali z życia towarzyskiego, nie pamiętają, kiedy byli ostatnio w teatrze lub kinie, i co czytali z literatury pięknej. Można podejrzewać, że mutacje matrymonialne, realizowane dość często w obrębie ich tylko grona, wynikają ze skłonności do najekonomiczniejszego wykorzystania czasu. A końca śledztwa nie widać, choć cennych dowodów zebrali już sporo, o czym głośno w świecie — od Moskwy do Nowego Jorku i Australii. Czy warto się tak trudzić? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy choć w przybliżeniu zapoznać się z problematyką badawczą Katedry, która w swoim zakresie naukowym została uznana za wiodącą w Polsce.

Katedrą kieruje rektor UMCS, prof. dr Zbigniew Lorkiewicz, który profesurę otrzymał ponad cztery lata temu, niemal w momencie przekraczania czterdziestego roku życia. Drugim samodzielnym pracownikiem naukowym placówki jest doc. dr Eugeniusz Gąsior, lat 39, obecnie przebywający w USA. W żmudnej wyprawie po komórkowe runo towarzyszą im doktorzy: Danuta i Wincenty Drożańscy, Kazimierz Dygdała, Mieczysław Kowalski, Ryszard Staniewski i Irena Żelazna-Kowalska. W Katedrze pracuje pięciu magistrów-asystentów naukowych, trzech asystentów technicznych oraz kilku laborantów. Katedra Mikrobiologii Ogólnej jest najliczniejszą personalnie na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi. Przedmiotem śledztwa tego zespołu jest genetyka drobnoustrojów ze szczególnym uwzględnieniem Rhizobium.

Słowo „genetyka" cieszy się dziś taką popularnością, jak nie przymierzając grupa skiflowa „No To Co". Między popularnością a wiedzą mrok jednak wielki zalega. Przypomnijmy więc, że genetyka jest nauką „o możliwościach dziedzicznych, o tym, jak one powstają, jak są przekazywane z pokolenia na pokolenie i jak się ujawniają w życiu osobnika i populacji". Czy jesteś ognistym brunetem, czy miedzianowłosą kobietą o zielonych oczach, wszystko — nawet charakter i uzdolnienia artystyczne — zależy od odpowiedniego układu przekazanych ci przez rodzica genów, których podłożem jest kwas dezoksyrybonukleinowy. Spoczywają one w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy w większych strukturach biologicznych zwanych chromosomami, które z kolei mieszczą się w jądrze komórki. Decydują o twoim zdrowiu: ludzie, których krew nie krzepnie, hemofilitycy, niemal wyłącznie mężczyźni, różnią się od normalnych tylko jednym genem. Mutacje, czyli zmiany w chromosomach i genach, zachodzące m. in. pod wpływem specyficznych bodźców zewnętrznych, są motorem ewolucji, dzięki nim właśnie żywe organizmy potrafią przystosować się do środowiska, do zmienionych warunków bytowania, choć czasami powodują... męskie zmartwienie: łysinę, która powstaje pod wpływem zmutowanego genu. Bezogonowe koty z wyspy Man koło Irlandii to również efekt jakiejś odległej w czasie mutacji.

Prawa genetyki odkrył po raz pierwszy braciszek zakonny Grzegorz Jan Mendel w 1865 r., ale wkrótce o nich zapomniano. Powtórne „odkrycie" nastąpiło na początku naszego wieku, dzięki pracom de Vriesa, Corrensa i Tschermaka.

Perspektywy tej nauki są ogromne, jako że zmierza ona do pełnego poznania struktur biochemicznych, w których zaszyfrowany został całkowity plan budowy każdego organizmu, i do uchwycenia mechanizmu dziedziczenia. Genetyka buduje więc fundamenty właściwego ustosunkowania się do tak ważnych zagadnień, jak zdrowie i choroba, małżeństwo i wydawanie potomstwa, wykształcenie i wybór zawodu, zaburzenia psychiczne i zbrodnie. Uczestniczy też w rozwiązywaniu problemów ekonomiki życiowej na Ziemi. Stąd m. in. obecność owego Rhizobium w badaniach lubelskich naukowców.

Nazwa ta określa bakterie brodawkowe, które w symbiozie z roślinami motylkowymi — fasolą, grochem, łubinem, koniczyną i in. — potrafią przyswajać wolny azot z powietrza. Rośliny konsumują ten pierwiastek, potrzebny im do produkcji białka, rewanżując się bakteriom całkiem przyzwoitymi porcjami cukru. Mówiąc słowami profesora Lorkiewicza, wybitnego specjalisty w zakresie zmian dziedzicznych u bakterii brodawkowych: wyrosłe na korzeniach roślin motylkowych brodawki z bakteriami są „mikrowytwórniami nawozów azotowych", z którymi nie wytrzymują konkurencji najbardziej wydajne fabryki. W jednohektarowym plonie wspomnianych roślin gromadzi się ponad 100 kilogramów azotu w postaci białkowej. Groch, fasola czy soczewica żywią nas niejako bezpośrednio. Bardziej okólnymi drogami czerpiemy korzyści z białkowego bogactwa koniczyny czy słodkiego łubinu, które stanowią pożywny przysmak (siano) zwierząt hodowlanych, a także znakomity „zielony nawóz", wprowadzający azot do ziemi.

Brak azotu w glebie to gorsze plony roślin uprawnych, niska produkcja zwierzęca, ostatecznie więc zmniejszenie białka w pożywieniu człowieka. Związku, o którym pewien wielki holenderski agrotechnik pisał jeszcze w 1838 r., że „bez wątpienia jest najważniejszą substancją żywej materii i bez niej życie byłoby niemożliwe".

Azot to podejrzany pierwiastek. Dużo go w powietrzu, lecz mało w glebie, która ostatecznie jest spiżarnią wszystkich istot żywych. Niby ospały, chemicznie obojętny, pobudzony wykazuje gwałtowną reaktywność. Gdyby przyroda odkryła katalizator, umożliwiający mu łączenie się z wodą — morza i oceany, jeziora i sadzawki wypełniłyby się momentalnie rozcieńczonym... kwasem azotowym, co byłoby równoznaczne z końcem życia na Ziemi. Jak dotąd, odczuwamy tylko jego brak w „spiżarni". Stąd właśnie wspomniane już śledztwo nad Rhizobium, nad bakterią, która wzbogaca nasze pożywienie. Chodzi przy tym o to, aby czyniła swoją powinność jeszcze lepiej, wydajniej. Środków do tego celu zaczęto szukać w genetyce.

Obecny zespół naukowy Katedry Mikrobilogii Ogólnej UMCS to w większości uczniowie prof. dr Władysława Kunickiego-Goldfingera, jednego z twórców genetyki bakteryjnej, aktualnie związanego z Uniwersytetem Warszawskim. Po jego wyjeździe z Lublina kierownictwo Katedry objęła prof. dr Jadwiga Marszewska-Ziemięcka (zainteresowa-

Prof. dr Zbigniew Lorkiewicz z zespołem pracowni. CAF — fot. J. Trembecki

TAK SIĘ

WSPÓŁCZESNĄ historię lubelskiego ośrodka naukowego zwykle rozpoczyna się przypomnieniem apelu, który ukazał się w „Rzeczypospolitej" 1 września 1944, wzywającego do zarejestrowania się (w budynku dzisiejszej Biblioteki im. Łopacińskiego) przebywających w Lublinie naukowców. Potem jest już mowa o dekrecie PKWN, powołującym Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. Czasem jeszcze wspomni się, że nieoficjalnym zaczątkiem nowej uczelni były wykłady powszechne, które w tym czasie odbywały się w gmachu gimnazjum Zamojskiego przy ul. Ogrodowej.

W rzeczywistości sprawa była bardziej skomplikowana i chociaż szybko ją rozstrzygnięto, to przecież istniały różne projekty.

Tak więc wśród dokumentów z tamtych czasów zachował się memoriał z dnia 18 września 1944 r., opracowany przez prof. dr Henryka Raabego, w okresie międzywojennym najpierw docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem profesora uniwersytetu we Lwowie, lewicowego działacza wśród robotników Zagłębia Dąbrowskiego, w latach 1945—46 ambasadora PRL w Moskwie. W memoriale tym czytamy:

Dwa tygodnie temu w związku z inicjatywą dr Drobnera dostałem polecenie od ob. Osóbki-Morawskiego, przewodniczącego PKWN, przedstawienia projektu zorganizowania w Lublinie instytutu naukowego o charakterze uczelni wyższej, który mógłby stworzyć ośrodek studiów dla młodzieży i dać możność pracy siłom profesorskim, znajdującym się na obszarze wolnej części Polski...

Przygotowania zrobione przeze mnie do otwarcia w Lublinie państwowej Akademii Medycyny i Nauk Przyrodniczych doprowadziły do skompletowania grona uczonych wykwalifikowanych, mogących już objąć prawie wszystkie katedry dla roku pierwszego i drugiego... Organizacja następnych lat studiów od razu w pierwszym roku istnienia Akademii wydaje mi się przekraczająca możliwości, głównie techniczne, jakkolwiek myślę, że może dałoby się zorganizować stopniowo pewne kursy uzupełniające dla studentów lat wyższych....

Projektowana Akademia musiałaby posiadać własny budynek... taki znaleźliśmy przy al. Racławickich nr 21 (zajęty obecnie przez Wojsko Polskie). Mam nadzieję, że w związku z życzliwością dla projektu gen. Roli-Żymierskiego dałoby się go od wojska uzyskać. Zużytkowanie tego budynku, według projektu dr Stelmasiaka, załączam oddzielnie... Odpowiedni projekt dekretu przedkładam oddzielnie... Akademia powinna rozpocząć pracę najpóźniej 1 listopada r.b.

Zapewne na podstawie tego ostatniego dokumentu Biuro Prawne przy Prezydium PKWN opracowało nową wersję projektu dekretu, który miał być uchwalony 18 września. Nazwa nowej uczelni miała brzmieć istotnie Akademia Medycyny i Nauk Przyrodniczych w Lublinie, a jej zadania tak zostały określone:

a) kształcenie sił naukowych i specjalistów w dziale medycyny i w dziale nauk przyrodniczych, w szczególności kształcenie lekarzy oraz pracowników naukowych i nauczycieli w zakresie wiedzy przyrodniczej;

b) prowadzenie prac naukowych i badawczych w dziedzinie medycyny i nauk przyrodniczych.

Dodajmy, że prawo nadawania stopni akademickich uczelnia mogła otrzymać dopiero po ewentualnym ukazaniu się specjalnego zarządzenia kierownika Resortu Oświaty PKWN.

Ten projekt jednak nie był przedmiotem obrad PKWN, chociaż została już powołana komisja organizacyjna Akademii. Rodziły się jednak inne projekty, a czasem nawet odzywały się głosy, że Lublin nie posiada warunków do utworzenia wyższej uczelni państwowej, że brak pomieszczeń itp. W dniu 13 października jednym z punktów obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej była sprawa wyższej uczelni. Przez aklamację przyjęto następujący wniosek:

...W związku z reformą rolną należy szczególną opieką otoczyć szkolnictwo rolnicze. Odbudowa odradzającej się Polski wymagać będzie dużej ilości wykwalifikowanych pracowników technicznych wszystkich dziedzin. Lublin ma wszelkie warunki do tego, aby stał się w odrodzonym państwie polskim poważnym ośrodkiem naukowym i centrum kształcenia polskiej inteligencji.

Z tych względów Lubelska Wojew. Rada Narodowa zwraca się do Resortu Oświaty PKWN z wnioskiem o zorganizowanie w Lublinie wyższej szkoły technicznej oraz państwowej szkoły typu akademickiego. W państwowej szkole akademickiej należałoby w pierwszym rzędzie uwzględnić wydział rolniczy i medyczny.

Następnego dnia ta sama sesja WRN omawiała sprawę utworzenia stypendiów. Okazuje się, że radnym chodziło właściwie o utworzenie trzech uczelni: uniwersytetu, akademii rolniczej oraz politechniki. Tu warto dodać, że już wtedy tworzyły się w Lublinie zaczątki różnych komórek Politechniki Warszawskiej, a od stycznia 1945 r. rozpoczęły się nawet niektóre wykłady w ramach tej uczelni. Sprawa lubelskiej działalności Politechniki Warszawskiej czeka jeszcze na swoje opracowanie, w każdym razie rodziły się tendencje, aby na bazie tych komórek zorganizować własną, lubelską politechnikę.

Gdzieś w połowie października 1944 r. powstał drugi projekt dekretu PKWN:

§ 1. Powołuje się do życia państwową wyższą szkołę akademicką (uniwersytet), której nadaje się imię nieprzemijającej sławy Polaka — uczonego Mikołaja Kopernika (warianty: M. Curie-Skłodowskiej, Polskiego Kom. Wyzwolenia Narodowego).

§ 2. Siedziba uczelni jest Lublin. Do czasu przysposobienia odpowiednich pomieszczeń uczelnia lub wydziały może działać w Zamościu.

§ 3. Uczelnia kształcić będzie młodzież we wszystkich dyscyplinach nauki, jak również prowadzić będzie naukowe prace badawcze.

§ 4. W chwili powstania uczelnia stworzy następujące wydziały: matematyczno-przyrodniczy, lekarski, rolniczy, weterynaryjny.

I ten projekt, chociaż bliski już ostatecznemu, nie był przedmiotem obrad PKWN. Wciąż jeszcze trwały dyskusje, rodziły się inicjatywy, czasem odzywały wątpliwości. Jedni chcieli, aby od początku uruchomiono także wydział nauk społecznych, inni — wydział humanistyki. Rozmawiano z wojskiem na temat zwolnienia budynku gimnazjum Staszica, z władzami miejskimi o przekazanie szpitali jako klinik, zastanawiano się nad sprawą bursy studenckiej oraz stołówek dla pracowników naukowych i studentów.

Na posiedzeniu PKWN w dniu 23 października 1944 r., które — jak zwykle — odbyło się w sali kolumnowej dzisiejszego budynku Prezydium WRN przy ul. 22 Lipca 4, omawiano trzeci z kolei projekt dekretu. Sprawę referował prof. H. Raabe. W pierwszej fazie dyskusji opinia członków PKWN nie była jednolita, wskazywano na pewne trudności kadrowe i lokalowe, które trzeba będzie pokonać. Po dosyć ostrych replikach przewodniczący PKWN zarządził głosowanie — projekt przyjęto jednomyślnie z drobnymi poprawkami formalnymi. Kierownik Resortu Oświaty dr Stanisław Skrzeszewski stwierdził wtedy:

Chcę podkreślić wyjątkową chwilę, którą obecnie przeżywamy. Nawiązujemy do tradycji, która datuje się od czasów Kazimierza Jagiellończyka, kiedy to tworzył się Uniwersytet Jagielloński w konflikcie z uniwersytetem katolickim. Wówczas również tworzył się uniwersytet jako bastion świeckiej szkoły, podporządkowanej interesom władzy świeckiej.

Wydaje mi się, że ten moment, który dziś przeżywamy, trzeba w jakiś sposób uczcić na zewnątrz. Z polecenia przewodniczącego ob. Morawskiego wydany będzie bankiet dla przyszłych profesorów i rektora Uniwersytetu. Imieniem Resortu Oświaty uprzejmie proszę wszystkich członków Komitetu i zastępców kierowników Resortów, ażeby łaskawie wzięli udział w tej uroczystości.

A oto tekst dekretu, ogłoszony w Dzienniku Ustaw nr 9, poz. 42, w dniu 23 października:

Na podstawie ustawy Krajowej Rady Narodowej z dnia 15 sierpnia 1944 r. o tymczasowym trybie wydawania dekretów z mocą ustawy (Dz. U. RP nr 1, poz. 3) — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego postanawia, a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza, co następuje:

Art. 1. Tworzy się Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej z siedzibą w Lublinie, nazywany w dalszych artykułach Uniwersytetem.

Art. 2. Uniwersytet ma na celu:

a) kształcenie sił naukowych i specjalistów we wszystkich działach nauki;

b) prowadzenie prac naukowych i badawczych.

Art. 3. W chwili powołania do życia Uniwersytet dzieli się na cztery wydziały: Lekarski, Przyrodniczy, Rolny i Weterynaryjny. Kierownik Resortu Oświaty może powołać do życia dalsze wydziały.

Gimnazjum Staszica — pierwsza siedziba UMCS CAF — fot. J. Huzar

wana przede wszystkim badaniem bakterii glebowych), następnie profesor Z. Lorkiewicz.

Badania rozpoczęto od długotrwałych marszobiegów po podlubelskich polach, z których wyrywano rośliny motylkowe wraz z korzeniami, oblepionymi brodawkami z Rhizobium. Potem izolowano i hodowano bakterie, uzyskując ostatecznie sto kilkadziesiąt szczepów; pewną ich liczbę otrzymąno z puławskiego IUNG-u i z zagranicy. Wszystko to wymagało benedyktyńskiej cierpliwości, która zresztą jest nieodzownym elementem powodzenia w tej nauce, podobnie jak inteligencja i umiejętność planowania badań. Z tej masy jednokomórkowców zaledwie kilkanaście szczepów dostąpiło zaszczytu dalszych eksperymentów.

Rhizobium nie odpłaciło jednak pięknym za nadobne, lecz ujawniło całą swoją niesforność. Do dziś nie odkryło wszystkich swoich tajemnic, nie pozwalając np. na ustalenie całkowicie pewnych kryteriów biochemicznych. Opisano co prawda właściwości morfologiczne bakterii — wielkość, typ urzęsienia itp. — ale to za mało do wyczerpującego zdefiniowania organizmu. Co innego taka „pałeczka jelitowa", bakteria rozpracowana w szczegółach, istny królik doświadczalny mikrobiologii.

W znacznym przecież stopniu Rhizobium poddało się naciskom śledztwa. Specjalna metoda, tzw. immunofluorescencja, pozwoliła na badanie mechanizmu wzrostu komórek bakterii, okazując się również kluczem do identyfikacji Rhizobium spośród innych bakterii; korzystano przy tym z surowicy odpornościowej otrzymanej na królikach.

W trakcie długotrwałych badań zauważono też, że bakterie zmieniają się pod wpływem pewnych substancji chemicznych (np. kwasu azotawego) oraz czynników fizycznych jak promienie ultrafioletowe czy gamma. Te zmiany to właśnie mutacje, przekazywane z pokolenia na pokolenie, które mogą wyrażać się odmiennymi zdolnościami wiązania azotu atmosferycznego, utratą zdolności syntetyzowania przez komórki polisacharydowej otoczki śluzowej, aminokwasów, lub nabyciem odporności na antybiotyki. Te dwie ostatnie cechy, jak się okazało, są równoznaczne z brakiem zdolności zakażania roślin motylkowych przez bakterie. Poszukiwania dróg, prowadzących do uzyskania najbardziej „pracowitych" mutantów, a także najefektywniejszych szczepów bakteryjnych, prowadzono więc dalej: trwają one do dziś. Mają charakter badań genetycznych przy użyciu skomplikowanych metod tzw. transformacji i transdukcji. Narzędziem i zarazem przedmiotem obserwacji jest w tych eksperymentach kwas dezoksyrybonukleinowy (DNA). Znajduje się on w chromosomach i odgrywa ogromną rolę przy przekazywaniu cech dziedzicznych; wspomniane mutacje Rhizobium były wynikiem zmian, które zaszły w DNA pod działaniem czynników fizycznych i chemicznych. Transformacja — lubelscy naukowcy mają w tej dziedzinie największe obok Węgrów osiągnięcia w świecie — to właśnie przenoszenie cech dziedzicznych przy pomocy DNA. Transdukcja zaś jest metodą przekazywania cech genetycznych przy pomocy tzw. fagów łagodnych, czyli wirusów bakteryjnych nie niszczących komórek bakterii; nośnikiem informacji genetycznej jest również DNA.

Badania te mają na celu ustalenie warunków dziedziczenia oraz wyczerpujące opisanie struktur substancji, uczestniczących w tym procesie, głównie DNA. Jak dotychczas znamy budowę chemiczną tego wszechmocnego kwasu, dalej jednak zagadką pozostaje wiele zagadnień. Wpływ DNA na dziedziczenie, na rozwój całej komórki, zależy od kolejności ułożenia jego zasad. Aby uzmysłowić sobie bogactwo informacji zawartych w DNA pojedynczej tylko komórki ciała ludzkiego, załóżmy, że pary zasad kwasu odpowiadają kropkom i kreskom szyfru Morse'a. Po czym możemy usiąść i — jeśli starczy nam życia — napisać przy pomocy tego szyfru 1 000 grubych podręczników!

Zdawać by się mogło, że w tym miejscu zaciera się nieco praktyczny cel badań lubelskich naukowców, albowiem znaleźliśmy się nagle w gąszczu teorii. Trzeba więc wyjaśnić, że uzyskanie najbardziej efektywnych szczepów Rhizobium, przydatnych dla rolnictwa, jak było, tak i jest istotnym celem pracy Katedry. Ale równocześnie prace nad tym modelem bakteryjnym dostarczają wyników wzbogacających światową wiedzę o procesach genetycznych w organizmach żywych. A jakie znaczenie ma genetyka dla dalszych losów gatunku ludzkiego, już powiedziano.

Bakterie i wirusy są tym dla biologów, czym atomy dla fizyków: modelem badań, których efekty obowiązują organizmy wyższego rzędu, jako że w przyrodzie ożywionej panuje jedność. Umożliwiają w warunkach laboratoryjnych względnie szybkie i dokładne badania chemicznej natury genów i procesów, przy których pomocy gen wykształca swoją kopię i wpływa na czynność komórki. Analiza tych zagadnień na organizmach wyższych jest niemożliwa, albowiem rozmnażają się one zbyt wolno i w niedostatecznych ilościach. Lubelscy mikrobiolodzy zwrócili uwagę na Rhizobium, co pozwoliło im na jednoczesne realizowanie ważnego z punktu widzenia gospodarki narodowej i bezpośrednio utylitarnego celu z dalekosiężnym programem czysto teoretycznym, zmierzającym do wyjaśnienia tajemnicy życia.

Trudno zresztą przewidzieć moment praktycznej materializacji myśli teoretycznej. Gdyby nie II wojna światowa i związana z nią inwazja chorób, co pomnożyło wysiłki badaczy, kto wie, jak długo musielibyśmy czekać na pełne upowszechnienie odkrycia Fleminga, dokonanego zresztą niejako przy okazji badań nad gronkowcami. A czy mógł — że posłużymy się przykładem nieco trywialnym — przewidzieć angielski naukowiec z Oxfordu, że jego purpurowe bakterie siarkowe zainteresują... rzeźnika, który wyniuchał w nich doskonały barwnik do mięsa? Ładniejszy kolor wołowiny, lepszy handel.

Przedstawiona problematyka nie wyczerpuje zakresu badań Katedry Mikrobiologii Ogólnej. Rozwijane są prace nad enzymami bakteriolitycznymi, dostarczające ciekawych wyników, w poszczególnych wypadkach wyprzedzających dokonania nauki zachodniej. Zakład Chemii Bakteryjnej Katedry prowadzi niezwykle intrygujące badania nad biosyntezą białka, czyli wytworzeniem in vitro (w probówce) substancji, wykazującej właściwości życia! Zadanie pasjonujące, lecz jego ewentualna pomyślna realizacja musi budzić zarówno nadzieje, jak i obawy. Oto człowiek zacznie dysponować siłą, zastrzeżoną dotąd wyłącznie dla natury i to siłą bodaj najważniejszą, bo życiosprawczą, pozwalającą na sterowanie wszystkimi procesami życiowymi organizmu. Jak ją wykorzysta — dla dobra, czy dla przekształcenia społeczności ludzkiej w jedną wielką termitiernię, o ściśle ustalonych, bez woli jednostki zaprogramowanych funkcjach!?

Badania nad biosyntezą białka prowadzone są w najbardziej rozwiniętych krajach świata; jeśli zakończą się sukcesem, to jednak nie wcześniej, niż za życia następnych pokoleń. Zresztą, kto wie...

Nietrudno więc zauważyć, że kierowana przez prof. dr. Zbigniewa Lorkiewicza Katedra Mikrobiologii Ogólnej UMCS zarówno pod względem problematyki badawczej, jak i konkretnych osiągnięć, mieści się na płaszczyźnie naukowej nowoczesności. Dodatkowym tego dowodem częste wyjazdy naukowe pracowników do ośrodków biologicznych w Stanach Zjednoczonych, Anglii, we Włoszech, na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Lubelskie badania mieszczą się w ramach Międzynarodowego Programu Biologicznego.

Sprawy historyków

Biografistyka ciągle młoda

Adam Andrzej Witusik

ZNACZENIE naukowej biografistyki, jej rola społeczna i wychowawcza, wydają się wręcz oczywiste. Niezwykłe losy wybitnych jednostek zajmowały zawsze sporo miejsca w dziejach historiografii. Słychać było do niedawna zdania, że w nowoczesnym ujęciu zadań i celów nauk historycznych biografistyka albo nie ma miejsca, albo ma go bardzo niewiele, że jest ona synonimem tradycjonalizmu i konserwatyzmu w nauce, a może i pewnej łatwizny. Zdania te wypowiadali głównie historycy, badający zjawiska masowe, dla których jedną z podstawowych metod badawczych jest statystyka. Statystyka nie mająca, jak wiadomo, zbyt dużo szacunku dla konkretnej jednostki, indywiduum; historycy liczący wszystko i wszystkich, sensownie i bezsensownie. Gdy jednak puścimy „mimo uszu" głosy degradujące znaczenie biografistyki, to zauważymy: i trwałość tego gatunku, ba — ostatnio nawet renesans, i wyjątkową popularność tak naukowej, jak popularnonaukowej, publicystycznej, eseistyczno-literackiej biografistyki wśród zwykłych odbiorców.

W biografistyce — jak w każdym zresztą gatunku, który chce zachować młodość — największą zaletą jest różnorodność: różnorodność zamysłów autorskich, poglądów historiozoficznych i form pisarskich. W serwisie pozycji biograficznych, które chciałbym tutaj zaprezentować, znajdują się: „Dom i środowisko rodzine Mikołaja Kopernika", Karola Górskiego, „Stefan Czarniecki 1599—1665", Adama Kerstena, „Stanisław Lubieniecki, przywódca ariańskiej emigracji", Janusza Tazbira, „Między ugodą a rewolucją (Andrzej Zamoyski w latach 1861—62)", Stefana Kieniewicza i „Bohaterowie nieromantyczni. O pionierach kapitalizmu w Królestwie Polskim" Ryszarda Kołodziejczyka. Wybór ten jest oczywiście dowolny, jego uzasadnieniem są z jednej strony osobiste zainteresowania, z drugiej — fakt, że każda z tych pozycji odbiega w różny sposób od klasycznej biografii, biografii nie wychodzącej poza rekonstrukcję, nieraz drobiazgową, życiorysu określonej postaci historycznej.

„Dom i środowisko rodzinne Mikołaja Kopernika" Karola Górskiego jest próbą wytropienia inspiracji, formujących osobowość przyszłego astronoma. Jego bohater „obrasta" samodzielnymi studiami kamienic, ulic i ludzi. Słowem — Karol Górski, ukazując klimat Torunia czasów dzieciństwa i młodości Mikołaja Kopernika, pomaga zrozumieć ukształtowanie się umysłowości i psychiki późniejszego autora „De revolutionibus orbium coelestium".

Biografia Stefana Czarnieckiego pióra Adama Kerstena jest historią awansu: jak z zupełnie średniozamożnej i przeciętnej szlachty, drogą zawodowej służby wojskowej, można było przejść do zamykającej się już warstwy magnackiej, tworząc przy tym rzeczywiście olbrzymią fortunę i koligacąc się z najzamożniejszymi rodzinami w kraju.

Rozprawa Janusza Tazbira: „Stanisław Lubieniecki, przywódca ariańskiej emigracji" jest i „portretem zbiorowym" trzeciego pokolenia Braci Polskich, i curriculum vitae Stanisława Lubienieckiego. Praca z jednej strony podejmuje bogatą i szeroką problematykę doktrynalno-ideologiczną, wychodząc daleko poza ramy dziejów jednego, wyidealizowanego życia, z drugiej — daje drobiazgowy opis losów Stanisława Lubienieckiego. *Obecna monografia* — pisze Tazbir — *pokazuje przez pryzmat doświadczeń życiowych Stanisława Lubienieckiego młodszego losy trzeciego pokolenia Braci Polskich... Pokoleniu temu przypadło w udziale parę zaledwie lat stosunkowo spokojnego życia, po których rychło przyszła fala prześladowań, uwieńczona pogromami w pierwszym okresie „potopu" oraz edyktem banicji z 1658 r. Wypadki powyższe szczególnie wyraziście naświetla biografia Lubienieckiego, którego widzimy od roku 1655 wszędzie tam, gdzie decydują się losy polskiego arianizmu. Słowem jego życiorys to zarazem duży odcinek historii pol-*

Dokończenie na str. 11

Art. 4. Uniwersytet jest państwową szkołą akademicką.

Art. 5. Pierwszego rektora i profesorów Uniwersytetu mianuje przewodniczący Krajowej Rady Narodowej na wniosek kierownika Resortu Oświaty. We wniosku swoim wskaże kierownik Resortu Oświaty szczegółowo kwalifikacje naukowe kandydatów na stanowiska rektora lub profesora.

Art. 6. Wykonanie niniejszego dekretu porucza się kierownikowi Resortu Oświaty.

Art. 7. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Po tygodniu przewodniczący KRN podpisał nominacje pierwszych profesorów. Otrzymali je: dr Mieczysław Biernacki, dr Janusz Domaniewski, dr Kazimierz Kalinowski, dr Jan Henryk Lubieniecki, dr Narcyz Łubnicki, dr Henryk Raabe, dr Feliks Skubiszewski, dr Konstanty Strawiński, dr Jakub Węgierko. Równocześnie pierwszym rektorem został prof. dr Henryk Raabe, a prorektorem prof. dr Konstanty Strawiński.

A oto kilka najważniejszych dat z życia uczelni:

ZACZĘŁO...

UNIWERSYTET MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ

15 XI 1944 — rozpoczęcie wykładów. Liczba studentów wynosi 834, powierzchnia wszystkich lokali zaledwie 1925 m kw.;

9 I 1945 — utworzenie Wydziału Farmaceutycznego;

13 I 1945 — Wydział Lekarski wydaje pierwszy dyplom ukończenia studiów na UMCS;

19 III 1945 — pierwsze posiedzenie Senatu: po powołaniu komisji senackich zaakceptowano 6 wniosków o habilitację;

5 V 1945 — uczelnia posiada 5 wydziałów, 50 profesorów, 120 asystentów, 1080 studentów, 45 zakładów naukowych i klinik;

26 V 1945 — nadanie trzech pierwszych doktoratów;

27 VII 1945 — zakończenie pierwszego roku akademickiego;

31 X 1945 — uczelnia otrzymuje budynki przy pl. Litewskim 5 oraz ul. Lubartowskiej 57;

10 V 1946 — Senat zatwierdza wydawanie „Rocznika UMCS", który wkrótce zostaje przemianowany na „Annales UMCS";

8 VII 1946 — Miejska Rada Narodowa w Lublinie przekazuje uczelni teren o powierzchni 17 ha (później znacznie powiększony) na wybudowanie dzielnicy uniwersyteckiej;

31 III 1947 — zalegalizowanie istniejącego już od kilku miesięcy Związku Walki Młodych „Życie";

1 IX 1949 — powstaje Wydział Prawa;

23 X 1949 — położenie kamienia węgielnego pod dwa pierwsze gmachy dzielnicy uniwersyteckiej dla fizyki i chemii;

1 X 1951 — Wydział Matematyczno-Przyrodniczy dzieli się na Wydziały Matematyczno - Fizyczno - Chemiczny oraz Biologii i Nauk o Ziemi;

1 X 1952 — powstanie Wydziału Humanistycznego;

16 X 1953 — powstanie Wydziału Zootechnicznego;

6 XI 1959 — powstanie trzyletniego Studium Administracyjnego;

1 XI 1961 — otwarcie studiów zaocznych z pedagogiki, matematyki, biologii, geografii i prawa; także punktu konsultacyjnego w Zamościu;

21 VII 1962 — Senat postanawia przystąpić do budowy gmachu dla biblioteki;

23 X 1964 — odsłonięcie w dzielnicy uniwersyteckiej pomnika Marii Curie-Skłodowskiej;

1 X 1965 — powstanie Wydziału Ekonomicznego.

W roku akademickim 1968/69 uczelnia liczyła 7 625 studentów, w tym 3981 na studiach stacjonarnych, 2798 na zaocznych, 767 na eksternistycznych i 79 na wieczorowych. Wśród 814 pracowników naukowo-dydaktycznych było 105 samodzielnych pracowników nauki. Od chwili powstania uczelni wydano 7834 dyplomy, przeprowadzono 426 przewodów doktorskich i 93 habilitacyjne. Budżet roczny wynosi ok. 90 mln zł.

AKADEMIA MEDYCZNA

1 I 1950 — z Wydziałów Lekarskiego i Farmaceutycznego UMCS powstaje Akademia Lekarska, 834 studentów studiuje medycynę, 575 farmację;

3 III 1950 — Akademia Lekarska zostaje przemianowana na Akademię Medyczną;

koniec 1960 — oddanie do użytku budynków kliniki pediatrycznej i warsztatów ortopedycznych;

koniec 1962 — oddanie do użytku gmachu zakładów teoretycznych przy ul. Dymitrowa 9;

21 VII 1964 — oddanie do użytku zespołu klinik przy ul. Jaczewskiego, dzisiejszego Państwowego Szpitala Klinicznego nr 4;

koniec 1968 — wybudowanie dwóch domów akademickich, stołówki i kliniki fizjatrycznej;

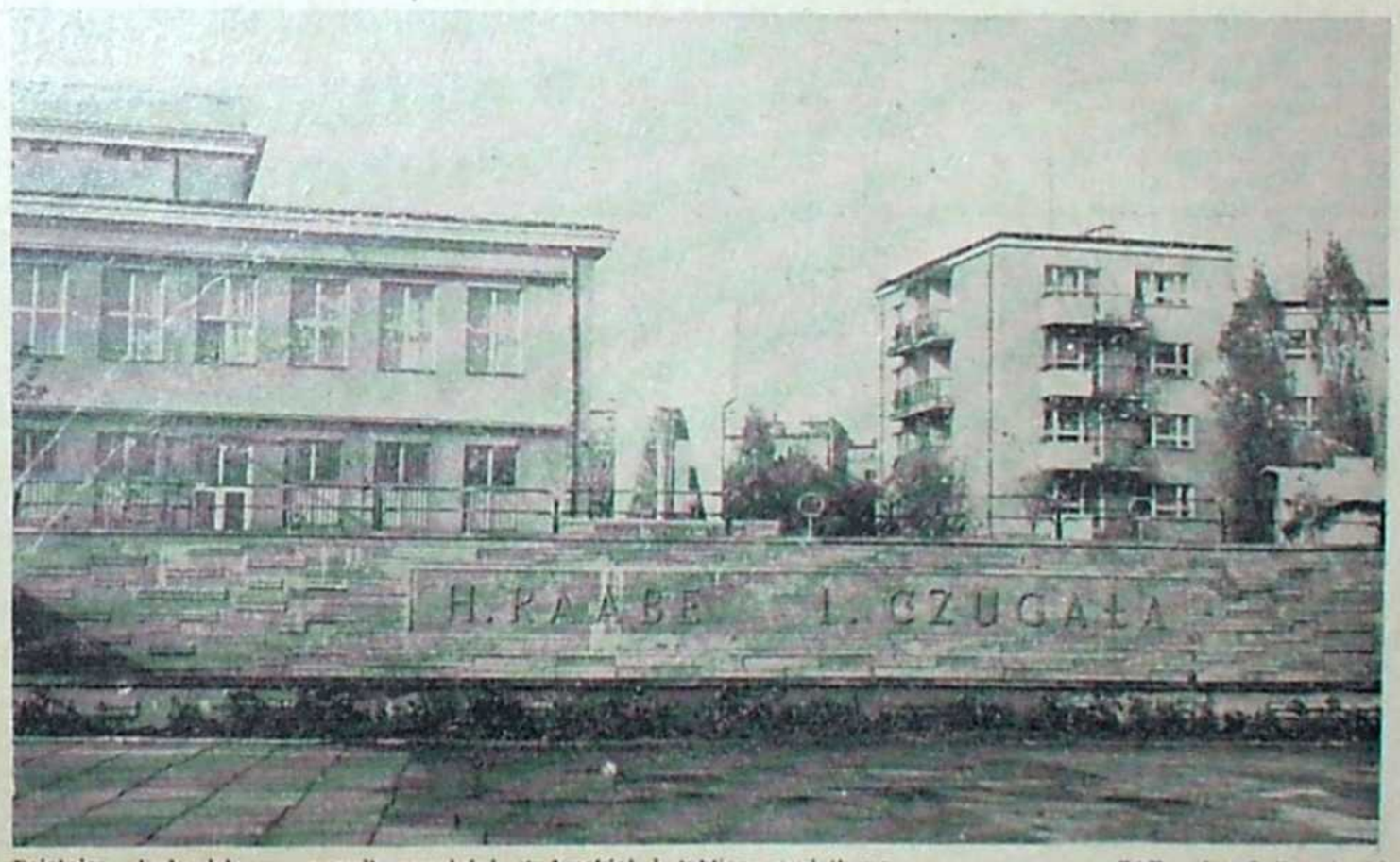

Dzielnica akademicka — pomnik przyjaźni studenckiej i tablica pamiątkowa

CAF — fot. J. Trembecki

W roku akademickim 1968/69 AM posiadała 1910 studentów, z tego 1273 na Wydziale Lekarskim i 637 na Wydziale Farmaceutycznym. Wśród 603 pracowników naukowo-dydaktycznych było 56 samodzielnych pracowników nauki. Uczelnia wydała 3346 dyplomów lekarskich oraz 1898 dyplomów magistrów farmacji, przeprowadzono 290 przewodów doktorskich i 81 habilitacyjnych. Budżet roczny 45 mln zł.

WYŻSZA SZKOŁA ROLNICZA

6 VIII 1955 — Uchwałą Rady Ministrów Wydziały Rolny, Weterynaryjny i Zootechniczny UMCS zostają wyodrębnione, tworząc Wyższą Szkołę Rolniczą, która liczyła 1421 studentów;

koniec 1959 — oddanie do użytku gmachu Agrotechniki;

1 X 1963 — utworzenie punktu konsultacyjnego Zawodowych Studiów Zaocznych w Białej Podlaskiej, oddanie do użytku budynku dla Katedry Mechanizacji Rolnictwa;

1 X 1966 — utworzenie Oddziału Ogrodniczego oraz Oddziału Mechanizacji Rolnictwa;

1 IX 1968 — przekształcenie Oddziału Mechanizacji Rolnictwa w Instytut Techniki Rolniczej.

W roku akademickim 1968/69 uczelnia posiadała 3789 studentów, z tego 2380 na studiach stacjonarnych, 1384 na zaocznych i 25 na eksternistycznych. Pracowników naukowo-dydaktycznych 306, w tym 72 samodzielnych pracowników nauki. Uczelnia wydała 3257 dyplomów, w tym samym czasie przeprowadzono 192 przewody doktorskie i 54 habilitacyjne. Budżet roczny wynosi ok. 69 mln złotych.

WYŻSZA SZKOŁA INŻYNIERSKA

IX 1953 — powstanie Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej; na jedynym wtedy Wydziale Mechanicznym rozpoczęło studia 109 studentów;

1 IX 1962 — oddanie do użytku budynku przy ul. Dąbrowskiego 13;

8 I 1964 — uruchomienie pierwszych studiów zaocznych na Wydziałach Mechanicznym i Elektrycznym;

1 VIII 1964 — powstaje Wydział Elektryczny;

1 VIII 1965 — powstaje Wydział Budowlany, przejmując prowadzone od 3 lat wspólnie z WSI w Warszawie Studium Budownictwa;

1 IX 1965 — Wieczorowa Szkoła Inżynierska zostaje przekształcona na Wyższą Szkołę Inżynierską, prowadzącą studia dzienne, wieczorowe i zaoczne.

W roku akademickim 1968/69 WSI liczyła 2669 studentów, w tym 1112 na studiach stacjonarnych, 798 na wieczorowych i 749 na zaocznych. Pracowników naukowo-dydaktycznych było 133, w tym 9 samodzielnych pracowników nauki. Dotychczas wydano 810 dyplomów inżynierskich. Budżet roczny wynosi 24 mln złotych.

* * *

W sumie cztery państwowe wyższe uczelnie miały na koniec ub. roku akademickiego 15 993 studentów, w tym 9383 na studiach dziennych stacjonarnych. Wydały one łącznie 15 247 dyplomów.

(D)

Teatr pisarza

Maria Bechczyc-Rudnicka

DWA ostatnie dni września przyniosły Lublinowi niemałe wydarzenie teatralne: tym razem to Lublin obok Warszawy, a nawet przed Warszawą miał szczęście gościć u siebie jeden z najwybitniejszych zespołów angielskich — The English Stage Company, spopularyzowany w świecie pod nazwą teatr Royal Court, pochodzącą od sceny, na której zespół rozpoczął i do dziś prowadzi swoją stałą działalność w Londynie.

Aby określić znaczenie tej działalności, nie dość jest powiedzieć pobieżnie, że The English Stage Company wystawia głównie sztuki współczesnych pisarzy angielskich. Historia światowa zna teatry, które utrzymywały stały kontakt z tym czy innym dramaturgiem lub nawet z dwoma-trzema utalentowanymi dramatopisarzami swego kraju, stymulując w ten sposób ich twórczość, ale chyba nie znajdziemy ani w dziejach, ani na dzisiejszej mapie teatralnej — sceny, która by się stała nie tylko w założeniu, lecz w codziennej praktyce „laboratorium" krajowej dramaturgii współczesnej do tego stopnia, jak właśnie angielski teatr Royal Court.

W r. 1962 ukazała się pierwsza wnikliwa monografia o nowym dramacie angielskim pt. „The Angry Theatre" („Teatr gniewny"), która wyszła spod pióra Johna Russella Taylora, wybitnego współpracownika „Times'a". Otóż słynny ten krytyk, omawiający m. in. twórczość sceniczną Osborne'a, Ardeña, Ann Jellicoe, Weskera, Pintera, Shelagh Delaney (jej „Smak miodu" wystawił kilka lat temu Teatr im. Osterwy!) — poprzedził owe analizy specjalnym rozdziałem, poświęconym dziejom powstania i charakterystyce The English Stage Company. W końcowym wniosku rozdziału mówi Taylor o założycielach zespołu ni mniej, ni więcej jak co następuje: „gdyby nie inteligencja i roztropność właściwych ludzi, którzy znaleźli się na właściwym miejscu we właściwym czasie, nowy dramat angielski może nigdy by nie powstał, bądź gdyby i powstał, to urywkami, a przy tym może dopiero w ciągu lat dwudziestu, miast, jak się to stało — wybuchowo, zaledwie w ciągu lat pięciu".

Pragnę ze swej strony podkreślić, że teatr Royal Court, ten „teatr pisarza" (writer's theatre), otaczający nowo powstałe utwory dramatyczne efektywną opieką, lansujący nieznane talenty, współpracujący systematycznie z nimi w trosce o wzbogacenie dramaturgii narodowej — że ten teatr zasługuje na szczególną uwagę w dobie mnożenia się adaptatorów i inscenizatorów, którzy traktują literaturę dramatyczną z upokarzającą nonszalancją, budując niekiedy własną twórczość bodaj na kontrowersyjnym stosunku do założeń autora sztuki.

Pokazane obecnie w Polsce dwa utwory Edwarda Bonda są ostatnią nowością teatru Royal Court. Na pierwszy ogień poszli „Uratowani" („Saved"), rzecz należąca nie tyle do nurtu realistycznego, ile, powiedziałabym — do neonaturalistycznego. Cechą charakterystyczną owego odradzającego się naturalizmu jest chyba posunięcie do skrajnych granic weryzmu autentycznych szczegółów życiowych z zakresu erotyki, sadystycznej euforii i wszelkiego okrucieństwa. Nie mówię o tej metodzie pisarskiej z dezaprobatą, gdyż sądzę, iż fakty powstające w życiu częstokroć wskutek jego szarzyzny, przeniesione na tło scenicznego „dnia jak co dzień", do zestawu obrazów powszednich — powinny wywołać u widza szok właściwy. Tak przynajmniej, wydaje mi się, odebrała widownia lubelska sceny drastycznych „zalotów" na kanapie i ukamienowania dziecka przez wyrostków. Szok niewątpliwie przechodzi w protest przeciwko absurdalnemu modelowi życia i na skuteczności owego szoku polega chyba sprawność artystyczna kompozycji sztuki.

Myśl „Uratowanych", że człowiek współczesnej Anglii żyje wyobcowany w społeczeństwie niehumanitarnym, w którym nie sposób być szczęśliwym, doprowadza autor do świadomości widzów przede wszystkim za pomocą działań scenicznych, bez posługiwania się rezonerstwem. Jest to jakby nawrót pisarski do behaviouryzmu, uwarunkowany kierunkiem, w jakim podąża nowoczesna sztuka w ogóle. Z konieczności w ten sposób szuka się prawdy, bo słowa prawdzie kłamią.

Wyreżyserował „Uratowanych" William Gaskill, kierownik artystyczny The English Stage Company. Największym wyrazem uznania dla jego trudu będzie, sądzę, gdy się powie, że zrozumieli intencje autora nawet widzowie nie znający języka angielskiego (a tym bardziej cockneya, w którym toczy się dialog).

O solidnej pracy reżyserskiej świadczy gra aktorów obsadzonych w rolach: pary niefortunnych kochanków (Kenneth Cranham i Patricia Franklin), ich rodziców (Richard Butler i Queenie Watts), tego trzeciego w nieprawym stadle (Brian Croucher), rozbestwionych młodzieńczków (Tom Chadbon, Billy Hamon, Michael Graves, Malcolm Tierney) i towarzyszącej im dziewczyny (Margret Brady).

Za bardzo trafny środek wyrazu uznać należy wyświetlanie reklam i nagich piękności na ekranie, zasłaniającym środek sceny. Przezrocza te łączą wybornie poszczególne obrazy dramatyczne, prezentując zarazem sztukę kameralną na jaskrawym tle społecznym.

Dekoracja „Uratowanych" (John Gunter) współgra nader szczęśliwie z treścią sztuki. Cała scena jest obudowana murem z brunatnych „cegieł" niczym murem więziennym. Na tle tego muru ustawia się dla wnętrz portatywny parawan (jak to się dawniej mówiło — pawilon) oraz parę sprzętów domowych. W tymże murze robi się nieduży prześwit, z zamierzonym banałem landszaftu — do scen w parku. Całkiem to proste a wymowne w swej niezłożoności.

Edward Bond „Wąska droga na daleką północ". Edward Peel (Shogo) i Gillian Martil (Georgina)

Końcowa scena „Uratowanych" jest niezwykle ponura: postacie zastygły w bezruchu z wyrazem otępienia na twarzy (rzekłbyś w finale „Rewizora").

Indagowany na konferencji prasowej co do znaczenia tytułu „Saved", Edward Bond, zwyczajem pisarzy awangardowych, nie chciał stawiać kropki nad i. Nie wiem, czy nie słuszniejszy byłby polski tytuł „Uratowany" (na co brzmienie oryginału pozwala). Bo przecie tylko Len, bynajmniej zresztą nie „gniewny" młodzieniec, dezaprobujący to i owo raczej pasywnie — może jeszcze miał jakieś widoki na sensowne życie, znajdując ratunek w pracy. W ten sposób naprawa złamanego krzesła, którą się zajął, urastamy do wielkiego symbolu. Pytałam o to autora — nie zaprzeczył, zapewniając w ogóle, że jego sztuka jest optymistyczna. Śmiem wątpić, skoro nic na razie nie zapowiada radykalnych zmian w warunkach, które wpędziły pokazaną rodzinę, na przemian, w histerię lub znieczulicę. Wszakże stary Harry już gdzieś pracuje, a jest przegrany do grobowej deski.

Widzom lubelskim, nie znającym teatru Osborne'a czy Pintera, obeznanym raczej z konwencją teatru brechtowskiego, druga sztuka Edwarda Bonda „Wąska droga na daleką północ" wydała się bardziej nowoczesna i więcej trafiła do przekonania. Inna rzecz, że tutaj problemy współczesności rozpatrywane są w znacznie szerszym planie. Chodzi już nie o moralność jednostki w społeczeństwie angielskim, na podłożu konkretnych warunków socjalno-ekonomicznych (a swoją drogą jakże daleko zabrnęła Anglia w „emancypacji" swej obyczajowości od czasów „skandalu" z miękkim kapeluszem liberalnego Forsyte'a). W „Narrow Road to the Deep North" idzie o losy całych narodów, o całe stulecia cywilizacji. Bond traktuje tu zarówno czas, jak i przestrzeń, z nieograniczoną swobodą, charakterystyczną dla współczesnej dramaturgii. Wydarzenia, rozgrywane początkowo w umownej Japonii, przerzuca następnie autor na „daleką północ", posługując się elementami teatralnymi jak najbardziej heterogenicznymi. Shogo, dziecko pozostawione w sitowiu nad rzeką przez biednych wieśniaków, wyrastając w dalekiej krainie na dyktatora, buduje miasto według wymarzonego przez siebie „doskonałego" wzoru. Lecz to miasto nie ma przyszłości, mówi autor, gdyż Shogo jest fanatykiem, a fanatyk niweczy nadzieje („the fanatic destroys hope"). Wreszcie krąg jego własnego życia się zacieśnia, a „cień rośnie". Poeta Basho idzie w końcu na kompromisy, jedyny zaś „sprawiedliwy", asceta Kiro nie widzi dla siebie lepszego wyjścia z impasu moralnego, jak popełnienie harakiri. Monumentalne dzieje świata składają się tu na jakiś koszmarny absurd, przeciw któremu jest właśnie wymierzony protest autora.

Edward Bond, autor trzech wziętych sztuk, ma, można powiedzieć — dopiero 33 lata, dopiero w sensie perspektyw pisarskich, i już 33 lata w tym sensie, że nie jest pisarzem „gniewnym", jak swego czasu John Osborne, kiedy tworzył „Miłość i gniew", które stały się wydarzeniem epokowym w dziejach Royal Court i teatru angielskiego w ogóle. Edward Bond jest pisarzem protestującym stanowczo, lecz po gruntownej rozwadze. U podstaw jego utworów leży przemyślany, filozoficzny stosunek do losów świata. Poglądy swoje wyraża Bond nie w obszernych kaznodziejskich tyradach, lecz w celnych, drastycznych wizerunkach rzeczywistości.

Sądzę, że gdyby nie było Shawa, Brechta, Czechowa, Tennessee Williamsa (nasuwa się paralela: „Uratowani" — „Szklana menażeria"), Becketta, Osborne'a, Pintera, nie byłoby może i takiego teatru Bonda, jaki jest obecnie. Niemniej Edward Bond pozostaje pisarzem, który różni się na pewno pod wielu względami od swych poprzedników zarówno w domenie idei, jak w środkach artystycznych.

Niewątpliwie „Wąska droga na daleką północ" otrzymała w osobie Jane Howell najwłaściwszego reżysera. Wyreżyserowała ona już przedtem z wielkim powodzeniem „Kaukaskie koło kredowe" i wydaje się, iż konwencja brechtowska, która, jak się rzekło, fakturze omawianej obecnie sztuki, bardzo pani Howell odpowiada. Rezultaty realizacji świadczą też o harmonijnej współpracy ze scenografem, Hayden Griffinem. Obramowanie wizualne całości zostało zaprojektowane na kształt niejakiej struktury tanagijej, stylowo „japońskie" są również przepiękne kostiumy oraz sugestywne rekwizyty.

Jest w tym spektaklu dużo bardzo estetycznych, a przy tym wymownych sytuacji (dla przykładu: scena Shogo przemawiającego do dzieci-lalek, czy też wyjściowa pozycja tegoż Shogo do „instruktażu" walki, którą zaleca biernemu Kiro; wreszcie — wstrząsający finał).

Z artystycznym umiarem potraktowane są akcenty teatru okrucieństwa dzięki przetransponowaniu szczegółów naturalistycznych na materiały zastępcze nie imitujące ściśle natury (krew — czerwona wstęga). Jednocześnie pomysłowo zastosowano szok, jaki wywołują np. szkarłatne plamy, nanoszone na „parawan" od strony zaplecza, a skojarzone z groźnym efektem dźwiękowym.

No i ta praca z aktorem nad rolą. Co za intensywną pasję wydobywa Edward Peel z postaci Shogo. Nie mniej wyrazista w swej skupionej powadze jest osobowość Kira, stworzona przez Kenneth Cranhama. Albo też Georgina, opętana swoistym „ideałem" moralnym jako czynnikiem państwowo-twórczym. Zaiste, Gillian Martil doprowadziła do perfekcji wyraz jej tępego uporu, przechodzącego poprzez egzaltację w obłąkanie. I żeby już wymienić chociaż czołowe postacie — ten chwiejny poeta Basho, pozornie mędrzec, w końcu dworak łasy na zaszczyty, którego gra Peter Needham (z tak doskonałą dykcją, iż ani jedno słowo nie przepada dla obcego słuchacza).

Nie wolno także pominąć fenomenalnych „masek", tworzonych przez aktorów w obydwóch sztukach.

W sumie spektakle teatru Royal Court zalecają się wypracowaną formą awangardową, która zresztą i dla nas nie stanowi już dziś nowości, ale, jak już wyżej powiedziano, teatr ten kładzie głównie nacisk na treść sztuk i na sprzyjanie rozwojowi dramaturgii angielskiej przez pracę nad nią i jej prezentację szerokiemu ogółowi społeczeństwa.

Bukareszteńskie zapiski (2)

Duch Brancusiego

Ireneusz J. Kamiński

HALL „Ambasadora" rzeczywiście na miarę dyplomatycznej nazwy tego hotelu. Przy wejściu — obok zwartej grupki Chińczyków w uniformach — dystyngowanie kołysze się plastikowa kobieta o wszystkowidzących oczach: reklama hinduskich linii lotniczych „Air — India". Donośnie brzmi baryton profesora moskiewskiej akademii choreograficznej. Pani J. informuje łamaną polszczyzną, że jej rodzice wyemigrowali z Polski jeszcze przed wojną. „Nie jestem Polką, jestem Amerykanką" — uzupełnia dla pewności. Mojej czy swojej, trudno powiedzieć. Mile Jan S. studentka nauk politycznych w Columbia University — szczupła, niebieskooka blondynka, o dziecięcym uśmiechu, gdzież ona do polityki! — nie wspomina o swoim, jak można podejrzewać, germańskim rodowodzie, lecz wypytuje o sprawy kraju między Odrą a Bugiem. W hotelowym coctail-barze kilka panienek dobrej woli, ale skromnej urody. Normalnie.

Międzynarodowy standard towarzyski zakłóca nagle uderzenie bębnów, wrzask piszczałek, strzały i oklaski. Umilkły rozmowy, zaklębiło się w drzwiach wyjściowych.

Przez zalany słońcem bulwar Balcescu, wyznaczony jak okiem sięgnąć szpalerami mieszkańców Bukaresztu, cwałują konni w barwnych, wyszywanych serdakach. Za nimi w tanecznym korowodzie maszerują uczestnicy I Międzynarodowego Festiwalu i Konkursu Folkloru „Rumunia 69". Szesnaście grup narodowych: z Anglii, Belgii, Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Francji, Tunezji, Mongolii, Szwajcarii, Węgier, Włoch, Rumunii, ZSRR, z obu państw niemieckich. Są też i Polacy — zespół „Rzeszowiaków" z Mielca, przyjmowany bardzo gorąco.

I właśnie na tej ulicy, w błyskawicznej konfrontacji, widać całą różnicę między folklorem zachodnim, a środkowo- i wschodnioeuropejskim. Pierwszy to w istocie namiastka, wspomnienie ludowości, niezobowiązujące do autentyzmu hobby, dające okazję do odwiedzin rumuńskiej stolicy. Anglicy czy Szwajcarzy, Niemcy czy Belgowie kroczą spokojnie, rozluźnieni, z rzadka podśpiewując przy dźwiękach akordeonów i saksofonów. Nieliczni, na ogół w najzwyklejszych „cywilnych" garniturach — ostatni Mohikanie folkloru w wersji mieszczańskiej, niknącego beznadziejnie pod naporem unifikującej cywilizacji wielkoprzemysłowej, outsiderzy zurbanizowanych społeczeństw, którym w poszczególnych tylko wypadkach udało się uratować resztki ludowej tradycji.

Ich oszałamiającym przeciwieństwem są zespoły z naszego kręgu geograficznego. Barwnością i bogactwem strojów, potężną dynamiką tańców, melodyjnością przyśpiewek rozpalają wyobraźnię widza i niejako wciągają go w rytm tego ulicznego, ludowego festynu. Zrozumiale, że ekipy telewizyjne, rumuńska i austriacka, polują przede wszystkim na zespoły rumuńskie, rosyjskie, polskie czy jugosłowiańskie.

Ale pod względem autentyzmu, nazwijmy to tak, socjalnego grupa ta nie jest jednolita. Nietrudno spostrzec, że sporo zadbanych, chciałoby się rzec — wymuskanych tancerek i tancerzy nie ma nic wspólnego ze wsią, z twórczością ludową. To po prostu znane nam dobrze zespoły pieśni i tańca, miniaturowe „Mazowsza" na państwowym chlebie. Muzyczno-wokalne i taneczne ensamble precyzyjnie wystylizowane na folklor, swoiste salony, bo nawet nie rezerwaty kultury ludowej.

Biadolić z tego powodu nie ma przecież sensu. Zacierają się różnice w obrębie kultur narodowych, wieś przenika się z miastem, środki masowej informacji i związana z przemysłem oraz turystyką ruchliwość ludności sprzyjają wzajemnej wymianie wartości, stapiających się w nową jakościowo kulturę. Folklor, jak i inne przejawy kultury ukształtowanej w minionych warunkach społeczno-ekonomicznych, przechodzi do tradycji. Czy będzie żywił współczesność, zależy od potrzeb jej zbiorowej świadomości. Nie można przecież oczekiwać, że czerpanie z jego zasobnych pokładów będzie odbywało się na zasadzie zwykłego powielania uformowanych przezeń wzorców. Wiele wyjaśnia w tym względzie dialektyka.

Na bukareszteńskim bulwarze spotkałem jednak kilka zespołów rzeczywiście ludowych, chłopskich — przede wszystkim rumuńskich. Sam ich wygląd podpowiadał, że z miejskimi baletami na ludowych motywach nie mają nic wspólnego. Na przedzie kroczyły zawyczaj posiwiałe, tęgie matrony, za nimi spaleni słońcem, o surowych i pomarszczonych twarzach mężczyźni — w ubiorach barwnych i strojnych, ale wcale, jak się wydaje, nieodświętnych.

Tańczyli pokrzykując chrapliwie, a krzyk ten rósł i nabierał szybkości. Krótko, nerwowo wybijali rytm. Coraz szybciej, coraz głośniej. To już był taniec magiczny, obrzędowy, niesamowity w zapamiętaniu uczestników. W czerwonych, spoconych twarzach błyszczące oczy. Ludowe misterium przeniesione z górskiej kotliny na rozpalony asfalt wielkiego miasta. Niskiemu, krzywonogiemu tancerzowi — we włochatym serdaku, z sękatym kijem w dłoni — spadła czapka. Otrzeźwiał na moment, kopnął ją na bok i znów przypadł do zbiorowej ekstazy, dysząc ciężko, chrapliwie.

W Rumunii istnieją, oczywiście, oficjalne, wielkie zespoły pieśni i tańca, ale posiadają one niezwykle szerokie i pożywne zaplecze w postaci autentycznego folkloru. Stosunkowo słabo zurbanizowany kraj nie zlikwidował jeszcze dość wyraźnych granic między kulturą miejską, wyrosłą na tradycji ziemiańsko-arystokratycznej i dopiero wstępnie ukształtowaną przez model socjalistyczny, a wiejską, gromadzącą najbardziej rodzime pierwiastki wartości duchowych narodu. Stąd właśnie autentyzm i fascynująca oryginalność tamtejszego folkloru. Nieuchronnie przecież czeka go los historycznego ekspo-

Kamena str. 8

PSEUDO: »SERCE«

Konrad Bielski

Treść poprzednich odcinków: jest wrzesień 1946 r. Autor wspomnień, znany lubelski adwokat, podejmuje się bronić przed sądem w Radomiu niejakiego Tadeusza G., oskarżonego o współpracę z okupantem. W toku wielu rozmów przekonuje się, że opinia o Tadeuszu G. nie jest w mieście jednolita. Obok zdecydowanych przeciwników ma on i grupę gorących zwolenników, b. partyzantów. W więzieniu dochodzi do spotkania obrońcy z oskarżonym. Tadeusz G. opowiada o pewnym dniu czerwcowym 1940 r., kiedy to przypadkowo Niemcy wzięli go z ulicy i zmusili, by towarzyszył im w charakterze tłumacza. Opinia publiczna zaczęła przypuszczać, że jest on konfidentem gestapo. Tymczasem podczas jednej z łapanek Tadeusz zostaje aresztowany i ostatecznie skazany na rok więzienia. Wychodzi na wolność i stara się o wstąpienie do partyzantki. Warunkiem jest zdobycie przez niego broni. Broń zdobywa, bierze udział w kilku brawurowych akcjach, zjednuje sobie powszechny szacunek. W czasie jednej wpadki udaje mu się ujść hitlerowcom dzięki świetnej znajomości języka niemieckiego, ale jego kolegów zabierają Niemcy i wszelki słuch o nich ginie. Następnie w toku przeprawy przez Wisłę w której Tadeusz bierze udział, traci życie spora liczba partyzantów. Niektórzy przebąkują o zdradzie. Gdy następuje wyzwolenie Radomia, Tadeusz G. zostaje zastępcą komendanta MO na miasto Radom. Po pewnym czasie aresztują go władze bezpieczeństwa.

W poprzednim odcinku autor opisywał, jak przygotowywał się do obrony oskarżonego.

NA to rozumowanie obrona musiała przedstawić swoje racje. Zawnioskowałem mianowicie świadków. Leśniczego, który miał stwierdzić, że w jego domu razem z G. przebywali wielokrotnie partyzanci i to w dużej liczbie, że nigdy nie spotkała ich żadna niebezpieczna przygoda, oraz innych, których zadaniem było udowodnić, że przyjście Niemców krytycznego dnia nie było specjalnym wypadem do leśniczówki, lecz akcją zakrojoną na szeroką skalę, której skutki odczuli boleśnie mieszkańcy sąsiednich wsi i osiedli. Wyłącznie tylko przytomność umysłu, dobra znajomość niemieckiego i odrobina szczęścia ocaliły wtedy G.

Poszlaki, oparte na zajściu w leśniczówce — bo to jednak były tylko poszlaki — nabierały sensu i znaczenia w oparciu o dokumenty, znajdujące się w aktach sprawy. Łącznie to już były dowody i to pewne. Teraz trzeba było dokładnie przyjrzeć się tym dokumentom. Ocenić ich wagę i znaczenie.

Otóż w aktach śledczych znajdowały się dwa pisma, nie wiadomo przez kogo i kiedy złożone, pisane specjalnym kodem, które miały stanowić jakąś część korespondencji między oddziałami partyzantów, a których treść i ustalenia tam zawarte godziły mocno i bezpośrednio w oskarżonego.

Przedstawiam dokładną treść tych dowodów tak, jak zostały sporządzone, pomijając tylko nazwiska i sprawy osób trzecich, które nas nie powinny obchodzić.

Pierwszy dokument: pisany na ćwiartce (pół arkusza) białego papieru w bardzo dobrym gatunku, na maszynie, czcionki odbite czysto i wyraźnie — brak jakichkolwiek uszkodzeń lub zanieczyszczeń. A otą treść: w lewym rogu — „Sosna" — 24 — 10 — 42. Pośrodku dużymi literami: „Piekło" — dalej normalnie w poprzek arkusika następujący tekst: Przesyłam wykaz agentów gestapo Radom 1) G. vel Serce Tadeusz — pracownik Bata, poprzednio Arbeitsamtu — 2) i 3) nazwiska osób nam nie znanych. U dołu podpis tylko na maszynie — „Równy".

Następną kartą był dokument na identycznej białej ćwiartce papieru, napisany na maszynie, a treści następującej: w lewym rogu trzy litery P.A.L., w prawym rogu: Mp. 11. XII.44, pośrodku: Rozkaz nr 78, po czym następuje treść również pisana na maszynie 1) przeniesienie — nazwiska nieznane, 2) ostrzeżenie: Ostrzegam przed niejakim Sercem, komendantem oddziału AL — jest on szpiegiem gestapo. W razie schwytania oddać grupie „Oska" — lub AL „Ryszard". Podpisano: wz kom. Okręgu „Zemsta". Podpis nieczytelny.

Nad tymi dwoma kartkami papieru, które miałem przed sobą w idealnym odpisie, przesiedziałem chyba całą noc, badając skrupulatnie każdą literkę i cyfrę, wytrwale szukając jakiegoś klucza, który tu musi być. Wystarczy powiedzieć, że wypaliłem prawie dwie setki papierosów i w obłokach dymu, jak legendarny Sherlock Holmes, medytowałem nad rozwikłaniem problemu. Bo byłem głęboko przekonany, że tu ukrywa się jakaś mistyfikacja. Na bo jakże. Obie kartki papieru, z których jedna miała za sobą prawie pięć lat, a druga trzy, i które musiały wędrować po różnych kieszeniach, kryjówkach i archiwach ludzkich — wyglądały tak, jakby je wczoraj ktoś zakupił w sklepie i starannie uważał, by nie poplamić i nie zabrudzić, a następnie wypełnić pismem.

Drugi problem nastręczała maszyna do pisania. Nie wiem, czy w oddziałach leśnych i partyzanckich używano maszyn, zastanawiałem się nad tym poważnie, ale skoro stwierdziłem, że oba dokumenty, choć czas ich powstania był różny — pisano na tej samej maszynie — utwierdziłem się w swych podejrzeniach. To było widoczne na pierwszy rzut oka, nie potrzeba było badań żadnych biegłych.

Dziś, gdy istnieją naukowe instytucje, studiujące historię okupacji i ruchu oporu, łatwo jest uzyskać w spornych kwestiach miarodajne i wszechstronne wyjaśnienia. Ale wtedy trzeba się było poruszać na oślep w ciasnym gąszczu zagadek i problemów. Toteż badanie treści dokumentu pod kątem nazwisk i pseudonimów, i konfrontacji ich z tym, co widziałem, nie dało pozytywnego rezultatu. Pseudonimy w konspiracji powtarzają się, są wprawdzie wyjątki, pseudonimy rzadko spotykane, jak np. „Serce", który narzucono memu klientowi wbrew jego woli.

„Serce" — powtórzyłem bezmyślnie. I w tym momencie nastąpiło olśnienie. Dostrzegłem nareszcie to, na co patrzyłem tyle godzin, nic nie rozumiejąc i co się z niczym nie chciało skojarzyć. A przecież od początku było to takie proste.

Dokument pierwszy posiadał ściśle sprecyzowaną datę: 24 — 10 — 42, a więc 24 października 1942 roku. W treści swej zawierał wykaz agentów gestapo — między innymi Tadeusza G. vel Serce. Poza sporem był fakt, że pseudonim „Serce" nadano Tadeuszowi G., gdy wstąpił do partyzantki na wiosnę 1944 roku. A więc albo autor dokumentu był jasnowidzem i to tak wyjątkowym, że przewidywał drobne zdarzenia, które mają nastąpić za dwa lata — albo dokument ten, jak również drugi, zostały sfałszowane i podrzucone przez kogoś, komu musiało bardzo zależeć na skazaniu G. i to jako agenta gestapo.

Po stwierdzeniu tego nie krzyknąłem jak Archimedes „Eureka", choć czułem się podobnie, bo wstyd mi było samemu przed sobą, że tak długo musiałem się męczyć, zanim dokonałem tego prostego odkrycia. Otworzyłem okno. Wypuściłem kłęby dymu z pokoju. Podszedłem do szafy, gdzie stała napoczęta butelka koniaku, nalałem duży kielich i wypiłem jednym haustem, po czym zwaliłem się na łóżko i zapadłem w mocny sen.

Nazajutrz uporządkowałem sobie w głowie wszystkie zdarzenia i ustalenia poprzednich dni i ponieważ miałem jeszcze cały dzień do dyspozycji, postanowiłem go poświęcić na tzw. w naszym języku kosmetykę, czyli dopracowanie wszystkich najdrobniejszych szczegółów sprawy. Sprawdziłem listy świadków, czy przypadkiem kogo nie pominięto, odbyłem ostatnią rozmowę z oskarżonym i wiele jeszcze dokonałem rozmaitych czynności.

Ale ciągle chodziło mi po głowie ostatnie odkrycie i wciąż zastanawiałem się, kto mógł być tym podstępnym wrogiem. Czy był sam, czy też działał w zmowie z innymi? I w jaki sposób te papierki podrzucił, bez ujawnienia się i bez pisma przewodniego tak dobrze, że znalazły się w aktach sprawy i figurowały przy akcie oskarżenia w wykazie dowodów? Coś mi po głowie chodziło, czy to nie ma jakichś łączności z ową tragiczną w skutkach przeprawą partyzantów przez Wisłę, ale nie ośmieliłem się wyciągać żadnych dalszych wniosków. Również przypomniałem sobie ostre zatargi oskarżonego z ugrupowaniami partyzantów spod innych znaków. Ostatecznie postanowiłem czekać na rozprawę.

I pomyślałem sobie jeszcze, że gdyby ten anonimowy sprawca, niewątpliwie świetnie zorientowany w stosunkach okupacyjnych, okazał się bardziej roztropny i nie przedobrzył dokumentu dodatkiem „Serce" — ciężko byłoby wtedy z tym papierkiem się uporać i że los samego G. byłby żałosny, a wynik ostateczny sprawy bardzo wątpliwy.

* * *

Wreszcie nadszedł z dawna oczekiwany dzień rozprawy głównej. Towarzyszyły mu zupełnie odmienne okoliczności i nastroje w mieście, niż przy poprzednich terminach. Przede wszystkim prasa wypowiedziała się na ten temat oszczędnie i ostrożnie. Zrezygnowano z efektownych tytułów i osądzania oskarżonego, zanim sąd wypowiedział ostatnie słowo. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ucichły wszelkie spory i namiętności. Nie potrzeba już było posterunków milicji na ulicach, a nawet karty wstępu, które wydawano bez żadnych ograniczeń, nie miały zbyt wielu odbiorców.

Cóż więc wpłynęło na tę zmianę nastroju? Trudno dociec istotnej przyczyny, niełatwa do zbadania jest psychologia tłumu lub większego ludzkiego skupiska. Można tylko przypuszczać. Ja sądzę, że skoro sprawa znalazła się w gestii miejscowego sądu i akta sprawy w Radomiu — wielu ludzi miało do nich łatwiejszy dostęp. Straciła więc swój nimb tajemniczości. Nie wątpię, że prokuratura, która cały czas wykazywała wielką powściągliwość i ostrożność, w ten czy inny sposób wyraziła swe wątpliwości, a to następnie poszło dalej.

Aczkolwiek byłem zadowolony z tego stanu rzeczy, gdyż spokojnie i w sprzyjającej atmosferze mogłem prowadzić obronę, jednak nie przeceniałem tego chwilowego życzliwego nastroju, gdyż wiedziałem, że czeka mnie jeszcze ciężka praca, że trzeba się przygotować na częste zaskoczenia, obalić niejeden dowód, a na każdy niespodziewany atak znaleźć błyskawiczną odpowiedź. Koniec był już bliski, ale wynik ciągle niepewny.

Pierwszy dzień procesu stał się niewątpliwie sukcesem obrony. Oskarżony złożył obszerne wyjaśnienie, które zrobiło na ogół dobre wrażenie na sądzie i na sali. Mówił śmiało, przekonywająco, prawda biła z jego żywych niebieskich oczu. Oczywiście, oszczędził sądowi i sali wielu intymnych szczegółów, znanych tylko obrońcy, niepotrzebnych w aktualnym stanie sprawy. Na wszystkie pytania odpowiadał pewnie i jasno. To tłumaczyło wiele i nadało wyraźny kierunek, w jakim toczyć się miał długi proces.

Również tego dnia uporaliśmy się z pierwszym zarzutem aktu oskarżenia. Po przedłożeniu niezbitych dowodów i zbadaniu szeregu świadków, jasnym się stało, że G. nigdy nie był volksdojczem i pracując, zresztą bardzo krótko, w Arbeitsamcie, nie tylko nie działał na szkodę Polaków, ale jeśli mógł, to pomagał. Dowody, które zaprezentował oskarżyciel, okazały się nierzetelne, oparte na plotkach, pogłoskach, nie mających nic wspólnego z rzeczywistością. Jaskrawo się to uwidoczniło na przykładzie owego zagadkowego Weissa. Otóż okazało się, że w Arbeitsamcie pracował Niemiec o tym nazwisku i to pracował bez przerwy, gdy już oskarżonego dawno tam nie było. Ten Niemiec był jakoby podobny do Tadeusza G., stąd powstała wersja, że to on właśnie, zmieniwszy nazwisko, nadal jest zatrudniony w Arbeitsamcie. Ta wersja utrzymywała się, mimo że nadszedł czas, gdy G. siedział w więzieniu, a Weiss w tym samym czasie przy biurku Arbeitsamtu. Wszystko to zakrawało na lichą komedię, a jednak ta historia z Weissem trafiła do aktu oskarżenia.

W czasie następnych dni rozważaliśmy dalsze zarzuty, przy czym wciąż ujawniała się słabość dowodów winy oskarżonego. Widocznym się stało, że śledztwo przeprowadzono niedbale, albowiem z góry założono winę G. i materiał, zebrany w toku dochodzenia, po prostu naginano do tej tezy. Niektórych świadków w ogóle nie pytano o rzeczy istotne, lub też ułamkowo zapisywano to, co powiedzieli.

Nie będę tu szczegółowo opisywać zeznań, złożonych w toku przewodu sądowego. Zajęłoby to mnóstwo miejsca, a dla zrozumienia całości jest to niepotrzebne — przytoczę tylko dla przykładu jeden epizod.

Świadek Janina D., kobieta w średnim wieku, w śledztwie zeznała:

— Wiem, że G. był konfidentem gestapo, gdyż raz będąc przesłuchiwaną widziałam przez niego złożony i podpisany donos.

Tenże świadek na rozprawie:

— Byłam przesłuchiwana w gestapo, widziałam tam na stole arkusz papieru zapisany i pod tym podpis T. G. To był na pewno donos.

— Czy świadek czytał treść tego pisma?

— Nie.

— W jakim języku było to pisane?

— Nie wiem, chyba niemieckim.

— Czy świadek zna język niemiecki?

— Nie.

— Czy świadek korespondował z G. i skąd zna jego charakter pisma?

— Nie korespondowałam i nie znam, tamten podpis wydał mi się jego.

— Skąd świadek wie, że to był donos?

— Skąd wiem? — Po dłuższym namyśle: Ludzie tak źle mówili o nim.

— A więc świadek nic nie widział, nic nie zrozumiał, tylko przypuszcza?

— No, niby tak.

(Dokończenie za dwa tygodnie)

---

natu — przemysł rumuński rozwija się w dobrym tempie, w latach 1966—68 średni wzrost produkcji wyniósł 12,3 proc., przy planowanych 10,8 proc. Malaparte określił kiedyś Rumunów jako naród dobrodusznych chłopów, rządzonych przez zdegenerowaną arystokrację. Ćwierć wieku temu historia zmiotła ową elitę. Współczesność coraz bardziej dezaktualizuje pierwszą część opinii włoskiego pisarza i reportera.

W ostatnich latach Rumuni czynią wiele w celu zwrócenia uwagi świata kulturalnego na swój dorobek artystyczny. Zorganizowali stały, periodyczny festiwal i konkurs muzyczny im. George Enescu o zasięgu międzynarodowym i także kolokwium na temat twórczości wybitnego rzeźbiarza, Constantina Brancusi. Rozmachem i znaczeniem nie ustępowało tym imprezom pierwsze triennale folklorystyczne „Rumunia 69", trwające od 26 sierpnia do 4 września. Towarzyszyły mu targi i wystawy sztuki ludowej oraz światowa sesja naukowa na niezwykle interesujący i po części kontrowersyjny temat: „Twórczość ludowa w życiu współczesnym"; w prezydium inauguracyjnego posiedzenia sesji zasiadał m. in. Kazimierz Pietkiewicz, dyrektor warszawskiego Muzeum Etnograficznego.

Podczas trzydniowej sesji wygłoszono kilkadziesiąt komunikatów (m. in. dr Jana Góraka z Lublina), obejmujących taką masę różnorodnych problemów, że sama tylko ich prezentacja wystarczyłaby na pokaźny artykuł. Wypada więc ograniczyć się do kilku zagadnień, sygnalizowanych w Bukareszcie.

Pomińmy tu informacje o stanie opieki nad ludową tradycją artystyczną w różnych krajach, rezerwując sobie czas na osobne omówienie tej kwestii. Myśl przewodnia problemowo odmiennych komunikatów zmierzała do wykazania obecności dorobku twórczości ludowej w życiu współczesnym, w społeczeństwach wielkoprzemysłowych. Wskazywano na inspirującą moc ludowości artystycznej w stosunku do nowoczesnej plastyki, muzyki (w tym młodzieżowej), mody i wszelakiego zdobnictwa. Podkreślano niebagatelne znaczenie owej ludowości, jej humanizmu, dla rozwoju kultury już zintegrowanej, spajającej tradycyjne i trwałe wartości z tymi, które wytwarzają społeczeństwa ery cybernetycznej. Poruszono również szereg bardziej szczegółowych zagadnień, jak aktualne tendencje rozwoju twórczości ludowej, fałszywe interpretacje pojęcia folkloru, film socjologiczny jako narzędzie poznania współczesnej twórczości ludowej, rola etnologii w procesie rozwoju samoświadomości kulturalnej... Na głębsze i obszerniejsze zapoznanie się z problematyką sesji bukareszteńskiej wypada poczekać do momentu opublikowania specjalnej księgi, która zawierać będzie wszystkie referaty in extenso.

W jednym z rumuńskich komunikatów znalazło się takie stwierdzenie: „Obecność elementów sztuki ludowej wyróżnia malarską szkołę rumuńską w ramach sztuki europejskiej". Moje bukareszteńskie doświadczenia tylko częściowo to potwierdziły.

Odwiedziłem kilka galerii sztuki w centrum stolicy. Trzeba przyznać Rumunom, że nawet przypadkowego przechodnia potrafią sprowokować do kontaktu z plastyką. Galerie mieszczą się w dobrych, ruchliwych punktach, na parterze, a wchodzi się do nich wprost z ulicy. (Ile mamy w Polsce tak rozsądnie zlokalizowanych salonów wystawienniczych?) Poza trzygodzinną popołudniową przerwą, czynne są od wczesnych godzin rannych do ósmej — dziewiątej wieczorem. Zawsze wypełnione publicznością.

Przyznam szczerze, że oglądane malarstwo nie dostarczało głębokich satysfakcji estetycznych. To zadziwiające, z jakim uporem powielają Rumuni martwe już konwencje artystyczne, nie ograniczając się w tych zapędach miłosnych do mutacji realizmu z postimpresjonizmem, ale sterując dalej wstecz — do Cezanne'a, Gauguina, van Gogha. Nieliczne próby interpretacji kubizmu czynione z dużą kulturą, wyodrębniają się na tym jednolitym i nudnawym tle w sposób zaskakująco świeży.

Spotkałem przecież obrazy ciekawe w swojej intymnej nastrojowości, ciepłej barwie i prostej, a przez to pięknej konstrukcji, którym musiała patronować sztuka ludowa. Kojarzy mi się z nimi nazwisko Rodicy Marinescu, malarki wystawiającej wraz z ośmioma innymi plastykami w galerii „Fondul plastic". To nie były żadne nowości artystyczne rodem z Anglii czy Stanów Zjednoczonych, ale bardzo swojskie, syntetycznie potraktowane pejzażyki, o znacznej dekoracyjności. To był kameralny, malarski balet czerwonych brązów, żółcieni, wiosennych zieleni — rytmizowanych szerokimi pasami świetlistej bieli. Niewielkie obrazki prężyły się zmysłową urodą, witalnością — czy ja wiem, chłopską chyba.

Tę ludowość, ale w bardziej współczesnej, czasami nawet abstrakcyjnej wersji, odnalazłem też w pracowni Lucii Ioan, malarki i graficzki — jednej z bardziej interesujących młodych indywidualności artystycznych w Rumunii — zajmującej się także ceramiką dekoracyjną, z której twórczością zetknąłem się po raz pierwszy na III Prezentacji Malarzy z Krajów Socjalistycznych w Szczecinie. Pani Lucia wykłada również w bukareszteńskim instytucie plastycznym.

W jej malarstwie odnaleźć można refleksy ludowego malarstwa na szkle, rzeźby drewnianej i ceramicznego zdobnictwa. Z tego źródła pochodzi też — szczególnie częsty w grafice L. Ioan — rytualny znak w kształcie litery „t" przeciętej u dołu dodatkową kreseczką. Sztuka ludowa okazała się całkiem zdrową pożywką dla wrażliwości i świadomości współczesnego artysty, który napiął swoje malarstwo między czytelnym znakiem, a jego niemal abstrakcyjnym fragmentem. Wszelkie wątpliwości w tym względzie rozwiewa dodatkowo sama autorka: „Szukam inspiracji w sztuce ludowej, nie u Picassa czy Braque'a i ich współczesnych potomków". Warto przy tym poinformować, że Lucia Ioan dobrze zna problematykę plastyki nowoczesnej i jej wybór tradycji nie wynika z programowej czy niezawinionej izolacji artystycznej.

Wychodząc z pracowni przy ulicy Galati zauważyłem jeszcze niewielką rzeźbę ceramiczną o organicznych, obłych kształtach. I wtedy po raz drugi w Bukareszcie przypomniałem sobie wielkiego reformatora europejskiej rzeźby — Constantina Brancusiego. Kilka dni wcześniej byłem w słynnym skansenie, gdzie niemal na wstępie natknąłem się na gliniany i gładki piec o opływowych liniach, stojący w chłopskiej zagrodzie, który po raz pierwszy wywołał tamto nazwisko.

Brancusi, największy rzeźbiarz rumuński i jeden z największych twórców w dziejach sztuki nowoczesnej, o którym Henry Moore powiedział, że dzieło jego „niezależnie od swych indywidualnych wartości, miało dla rozwoju rzeźby współczesnej znaczenie historyczne", nie posiada dziś w ojczyźnie kontynuatorów czy równorzędnych mu osobowości artystycznych. A przecież jego kamienne, metalowe czy drewniane, precyzyjnie polerowane i syntetyczne w kształtach rzeźby powstawały pod patronatem sztuki ludowej także i tego kraju, w którym aktualnie dominuje akademicka, rzeźbiarska sztampa. W jednej z centralnych galerii Bukaresztu widziałem konny posąg jakiegoś koronowanego władcy — ponadnaturalnej wielkości, tak „żywy", że miało się ochotę klepnąć kobyłę w potężne kłęby. Przestałem wierzyć w życie pozagrobowe, skoro nawet duch Brancusiego nie pojawia się nad rumuńską rzeźbą.

Kamena str. 9

ekran i widz

I co dalej?

COŚ się zaczyna dziać w naszym lubelskim kinowym światku. Dziennikarz odnotowuje szereg interesujących inicjatyw instytucji, czuwających nad upowszechnieniem kultury filmowej w województwie — z przyjemnością tym większą, że i on był kiedyś jednym z tych, którzy wskazywali na istniejące niedociągnięcia i zastanawiali się, jak je naprawić.

Być może, iż wielu osobom z filmowego resortu dodała odpowiedniego bodźca atmosfera przygotowań do obchodów 25-lecia PRL; tak czy inaczej jednak obserwujemy w Lublinie odpływ fali bierności i marazmu. Zreformowano działalność odczytową w kinie studyjnym w „Chatce Żaka", kino „Staromiejskie" nie tylko wprowadziło na swój ekran interesujący, ambitny repertuar, jego kierownictwo nie tylko potrafiło sobie poradzić z niesforną młodzieżą staromiejską, ale zdołano tutaj wprowadzić „dni studyjne", podczas których wyświetlane są filmy o wysokich walorach artystycznych i społecznych. Do niedawna jeszcze uważano, że stworzenie w Lublinie drugiego kina studyjnego jest w obecnej chwili niemożliwe, a w wypadku kina „Staromiejskiego" — wręcz bezcelowe. Przy odrobinie dobrej woli i pewnym momencie ryzyka, inicjatywa okazała się możliwa do zrealizowania i, co więcej, że także na tym terenie istnieje zapotrzebowanie na dobry film. Tutaj trzeba podkreślić duży wkład pracy organizacji miejskiej Związku Młodzieży Socjalistycznej, która sprawuje patronat nad kinem „Staromiejskim" i powołała radę artystyczną, której zadaniem jest czuwanie nad doborem odpowiedniego repertuaru.

Zresztą ZMS ma w ogóle wielki udział w kształtowaniu kultury filmowej w województwie. Od dłuższego już czasu Zarząd Wojewódzki ZMS angażuje się bardzo czynnie w sprawę działalności kin studyjnych. W Radzie Artystycznej Kin Studyjnych zasiadają jego przedstawiciele, ZW ZMS powołuje przy kinach studyjnych zetemesowskie „Kluby X Muzy", wreszcie „wspomaga" finansowo Wojewódzki Zarząd Kin, partycypując w honorariach, wypłacanych prelegentom filmowym. W organizowaniu corocznych letnich kursów dokształcających w Białce dla kierowników kin studyjnych i aktywistów „Klubów X Muzy" organizacja zetemesowska ma także swój poważny udział.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na fakt utworzenia w ostatnich dniach w lubelskim klubie „Pod Kosmosem" filmowego ośrodka dyskusyjnego, grupującego wszystkich zainteresowanych z terenu miasta. Duży nacisk kładzie się tutaj na prelekcje i wykłady z dziedziny teorii oraz historii filmu, wygłaszane przez krytyków warszawskich oraz przedstawicieli kadry naukowej Wyższej Szkoły Filmowej. Być może klub „Pod Kosmosem" stanie się kontynuatorem tradycji chlubnej pamięci Lubelskiego Dyskusyjnego Klubu Filmowego sprzed dziesięciu lat...

Te wszystkie pozytywy nie mogą jednak przesłonić problemu, z jakim już od pewnego czasu borykają się organizatorzy akcji kin studyjnych na terenie województwa. Lubelszczyzna może się pochwalić bodajże największą w kraju liczbą tych kin. Działa ich tutaj 22. Oczywiście w skali powiatowej trudno mówić o kinie studyjnym jako jednostce ściśle wyodrębnionej. Są to najczęściej „normalne" kina prowadzące w określonych dniach działalność studyjną. Nawiasem mówiąc takie rozwiązanie jest najbardziej słuszne i celowe. Problem natomiast tkwi w zapewnieniu odpowiednio licznej i dobrej kadry prelegenckiej

Takich ludzi jest u nas niewielu, zresztą ani WZK ani ZMS nie mogłyby sobie pozwolić na finansowanie szeroko rozwiniętej akcji prelegenckiej. W efekcie, rozkręciwszy, jak się to mówi, interes, a nie mając w pełni zapewnionego zaplecza, WZK musiał zdecydować się na wyjście połowiczne — podczas dni studyjnych w kinach terenowych są przed seansami odtwarzane prelekcje z taśm magnetofonowych, a co pewien czas, „dla osłody", wysyła się na prowincję „żywego" prelegenta. Taki prelegent pojawia się w danym kinie raz na trzy lub cztery miesiące. Nie wierzę, aby jego prelekcja mogła wnieść cokolwiek do skarbnicy wiedzy filmowej miejscowego społeczeństwa, poza — niesłusznym zresztą — przeświadczeniem, że właśnie miejscowe kino studyjne jest upośledzone w akcji studyjnej. Problem staje się jeszcze bardziej jaskrawy w miejscowościach, gdzie panuje szczególnie duże zainteresowanie sprawami filmu i gdzie doszło do utworzenia „Klubów X Muzy".

Wydaje mi się, że w takiej sytuacji najwłaściwsze byłoby zwrócenie szczególnej uwagi właśnie na owe częściowo już zaktywizowane środowiska. Tam właśnie, a nie gdzie indziej, powinni się często pojawiać prelegenci, więcej, powinni oni stać się stałymi opiekunami „Klubów X Muzy", ich ambicją byłoby wychowanie pewnej grupy młodzieży na pełnowartościowych odbiorców sztuki filmowej.

Co oczywiście wcale się nie kłóci ze stosowaniem mniej atrakcyjnych form kulturalno-oświatowych w innych kinach.

M. D.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Nic nie jest w stanie zmóc pomysłowości ludzkiej ani rozlicznych inicjatyw autorskich. Stąd u nas rozmaite konkursy, cykle, kąciki, kluby... „U nas" — to znaczy w niniejszej rubryce, choć i tzw. życie mamy bogate... Dziś pomysłowość ma na imię: „Adamowszczak z Lublina", co brzmi tak samo dumnie jak: „Biernat z Lublina". Ten pierwszy donosi nam: „Zachęcony sukcesem moich Erotyków, publikowanych w Poste Restante, przez kilka miesięcy usilnie nad sobą pracowałem. Pragnę w przyszłości stworzyć nową szkołę poetycką, szkołę Adamowszczaka z Lublina". I tak dalej, tzn. nie itd., lecz dalej tak:

Uch, złapałbym was za bary
wąskonose
przepoczwarzone
chimery niebytu
w nicoś
albo w coś
i wytrząsłbym z waszej
baraniej skóry
przestraszonego wilczka
o ślepiach ognistych
lub
spętałbym was
kajdanami z papieru
a potem utopił
w Morzu Obojętności
nawiedzacie mnie
w snach
na jawie
w poczekalni dworcowej
na strychu
u pewnej znajomej staruszki
osoby b. miłej
dlatego
tworzę
orzę
rzę
ę

Niech zatem będzie szkoła poetycka Adamowszczaka z Lublina. Należy tylko sobie winszować, by nie podzieliła losu innych młodych szkół poetyckich w naszym kraju. Uch, ta wpływologia! A zakończenie wierszyka upoważnia autora do starania się o przyjęcie w poczet członków Klubu Empigonistów. „Przejść się w wieńcu laurowym po scenicznych deskach" — czy to „marzenie autora" czegoś p. Adamowszczakowi nie przypomina?

Kara nie kareta

Czytając w n-rze 20 „Kameny" fragment swych wspomnień związany ze zwiedzaniem Pompei, ze zdziwieniem dowiedziałem się, że starożytni Rzymianie jako środka lokomocji używali karet (sic!): „Kroczę przez ulicę (...) widzę głębokie wyżłobienia od ciężkich karet, które tędy przejeżdżały". Oczywiście powinno być: „od ciężkich kar" (kara — wóz na dwóch kołach).

K. A. Jaworski

„Dialog z czytelnikiem"

W podsumowaniu naszej ankiety w nr 21 z dnia 12 X 1969 r. na str. 5 zostały przestawione wiersze: 3 ostatnie wiersze w szpalcie 4 nad zdjęciem brzmiące „strasza czytelników z innych województw, bo sobie pomyślą: to nie z mojej parafii)?" powinny znajdować się na końcu tej samej szpalty, ale pod zdjęciem.

Redakcja

z bocznej trybuny

Trzeba mieć charakter

JAKI jest lubelski sport akademicki? Działacze studenccy z pierwszych lat po wojnie z łezką w oku wspominają rok 1946, kiedy to drużyna AZS Lublin zdobyła akademickie mistrzostwo Polski w hokeju na lodzie. W tymże samym roku nasz zespół zajął trzecie miejsce na akademickich mistrzostwach Polski w narciarstwie klasycznym, powtarzając zresztą ten sukces rok później.

Sportowy ruch studentów istniał w Lublinie i przed wojną — przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jednakże dopiero w minionym ćwierćwieczu ogarnął on szerokie rzesze młodzieży studiującej. AZS Lublin reaktywowany był nie w 1944 roku, wraz z powstaniem UMCS, lecz dopiero wiosną 1945. Powstały wtedy sekcje lekkoatletyczna i piłki nożnej. Ta ostatnia zgłosiła po jednej drużynie do rozgrywek klasy A i B. W roku akademickim 1945/46 zorganizowali się hokeiści, narciarze, szermierze, siatkarze, bokserzy i piłkarze ręczni. Pod koniec roku akademickiego 1946/47 AZS Lublin miało już 600 członków — i było najsilniejszym klubem w województwie.

Dziś nikt nie uważa AZS za najlepszy, ani nawet za czołowy klub w województwie. W najpopularniejszych dyscyplinach sportu, jakimi niewątpliwie są piłka nożna i boks, studenci nie mają nic do powiedzenia — a jeśli nawet niektórzy je uprawiają, to nie w AZS, lecz w innych klubach. W sportach zimowych nasz ośrodek akademicki nie może być przez nikogo uznany za poważnego konkurenta. Bazy sportowej brak jest całkowicie — bo trudno uznać za taką dwa kiepskie korty tenisowe w dzielnicy akademickiej. A zatem regres?

Czołowa pozycja AZS w województwie w pierwszych latach po wojnie wynikała z ówczesnych warunków. Na studia przychodzili ludzie, z których część miała za sobą lata spędzone w wojsku lub partyzantce; byli więc młodzi, ale doświadczeni życiowo, obrotni, żądni robienia czegoś... No i jak każdy student, mieli też trochę wolnego czasu, a czymże można go było wtedy zapełnić?

Dziś w sporcie lubelskim główną rolę odgrywają kluby przy wielkich zakładach przemysłowych oraz klub wojskowy „Lublinianka". Mają pieniądze, mają bazy, mają młode kadry, spośród których można rekrutować zawodników, mają możliwości angażowania osób zamiejscowych i zapewniania im odpowiednich warunków bytowych. W dodatku i zakłady przemysłowe i wojsko zatrudniają coraz więcej ludzi z wyższym i średnim wykształceniem, przywykłych w szkole i na studiach do sportu — i z nich wywodzą się też działacze sportowi. Cóż może w tej konkurencji zdziałać AZS, nie ofierujący przecież szybkiego przydziału mieszkania? W dodatku młody człowiek po ukończeniu studiów, jeśli nawet uprawia sport, przynosi się do innego klubu. Czyli mniej więcej w tym wieku, w którym osiąga się dopiero pełnię dojrzałości fizycznej.

Dzisiejszy dorobek studenckiego sportu nie jest jednak wcale tak skromny, jak mogłoby się wydawać tym, którzy dają punkty jedynie za futbol i boks. Niech chodzi mi tu o obowiązkowe wychowanie fizyczne, obejmujące słuchaczy dwóch pierwszych lat, lecz o sport wyczynowy. AZS Lublin liczy około 2 tys. członków. Posiada drużynę koszykówki żeńskiej w pierwszej lidze, drużynę koszykówki męskiej w II lidze i drużynę siatkówki żeńskiej w II lidze. To już jest coś. W ligach okręgowych grają drużyny: piłki ręcznej (męska), tenisa i lekkiej atletyki. Istnieją też sekcje: dżudo, ping-ponga, szermiercza, narciarska, żeglarska i turystyczna. Domaszewicz w skoku w dal, Czerpicka w skoku wzwyż i Godel we florecie zaliczani są do grona najbardziej obiecujących talentów w Polsce. Szawarska-Czopek gra w I reprezentacji Polski w koszykówce, Banach i Polowa grają w reprezentacji młodzieży i juniorów.

Drużyny w ligach to nie tylko satysfakcja, ale i wydatki na pokrycie kosztów podróży, diety, wynajmowanie sal, organizowanie obozów itd. Na całą swoją działalność (łącznie z kosztami utrzymania klubów uczelnianych) AZS Lublin dostaje z ZG AZS 1 200 tys. zł rocznie. Drobna część tego, co ma każdy prawie klub zakładowy. Młodzi sportowcy muszą więc liczyć się z każdym groszem.

Mimo to w najbliższym czasie należy spodziewać się dalszego ożywienia studenckiego ruchu sportowego. Przed końcem grudnia ma być oddana do użytku hala sportowa w dzielnicy akademickiej, budowana z funduszu inwestycyjnego UMCS. Na przyszły rok planuje się też budowę dużej płyty asfaltowej do gry w koszykówkę, siatkówkę i szczypiorniaka, na której w zimie urządzano by lodowisko. W Piasecznie budowany jest nad jeziorem ośrodek sportów wodnych.

Przy tym wszystkim prawdą jest jednak, że choć sportem interesuje się prawie cała młodzież akademicka, a uprawia go dla siebie, dla zażycia odrobiny ruchu, znaczna większość studentów, to jednak do wyczynowego nie garnie się wielu. Najsilniejsze drużyny istnieją na UMCS. Natomiast w Akademii Medycznej wyczynowy ruch sportowy jest dość blady. Częściowo usprawiedliwia to fakt, że medycy mają bardzo dużo zajęć. Ale przecież studia techniczne też wymagają „wkuwania", a jednak w Wyższej Szkole Inżynierskiej, w której studia stacjonarne istnieją od niedawna, dobrze rozwijają się drużyny wyczynowe.

Inna rzecz, że młodzież współczesna ma coraz więcej możliwości wyżycia się w różnych formach działalności, stąd też sport wyczynowy, wymagający coraz większego wysiłku i czasu pracy, przestał być taką atrakcją, jak dawniej. Trzeba mieć nie tylko odpowiednie warunki fizyczne, ale (a może: przede wszystkim) i silny charakter, by zdecydować się na solidny trening. Czy jednak bez silnego charakteru można owocnie studiować?

(RW)

Puszkina zabił paszkwil

Edward Skrętowicz

PUSZKIN zmarł, nie mając jeszcze lat 40. Było to skutkiem ran, jakie odniósł w pojedynku z pozostającym w służbie rosyjskiej emigrantem francuskim, porucznikiem gwardii cesarskiej G. d'Anthesem. Tajemnica tej śmierci, spowodowanej intrygami kół arystokracji dworskiej, nie została wyjaśniona całkowicie do dzisiaj, mimo iż na ten temat istnieje już spora liczba opracowań, nieraz zresztą bardzo kontrowersyjnych. Warto zwrócić uwagę na 2-tomowe wydawnictwo pt. „Puszkin 1837—1937", Kraków 1939. W tomie 2 tego wydawnictwa znajduje się wykaz publikacji, z których wiele dotyczy samego pojedynku. Omówienie zaś ważniejszych prac polskich przedstawił M. Jakobiec w artykule „Jubileusz Puszkina w Polsce", t. II, s. 179—224. Stosunkowo mało miejsca w literaturze poświęcono śledztwu, prowadzonemu w sprawie tego pojedynku, które, jak wiadomo, było niedokładne, a pewne wnioski wprost fałszywe. Niniejsze uwagi mają charakter podsumowania danych, jakie w tej kwestii istnieją, ze szczególnym uwzględnieniem prawnej strony wydarzenia, która takiego podsumowania dotąd się nie doczekała.

Na początek warto może poświęcić kilka słów samej „instytucji" pojedynku. Był on — jak wiadomo — zwyczajem przyjętym w pewnych grupach społecznych i służył rozstrzyganiu tzw. sprawy honorowej przy pomocy walki orężnej. Cechę zaś tej walki stanowiła wzajemna zgoda stron walczących, tak co do samego jej odbycia, jak i warunków, w jakich ma się odbyć.

„Wynalazek" tej instytucji zawdzięczamy protoplastom Niemców. Zaczątkiem pojedynku nie są, jak czasem błędnie się przyjmuje, dawne zwyczaje „dowodu z pojedynku" sądowego, ale stare germańskie „prawo pięści". We współczesnej zaś formie pojedynek jest produktem czysto francuskim. Zwyczaj ten, istniejący szczątkowo jeszcze do dzisiaj, zaczął się rozpowszechniać w Europie w w. XVI i XVII równocześnie z rozwojem regularnych wojsk francuskich. We Francji właśnie pojedynek został ujęty w formę oficjalnie istniejących przepisów i regulaminów, tam też najwcześniej zaczęto go prawnie ścigać.

Represje prawne skierowane przeciw pojedynkom okazywały się długo bezskuteczne, mimo że groziły karą śmierci i konfiskatą dóbr przeciwników oraz sekundantów. W Anglii na przykład dopiero w połowie XIX wieku usunięto ten zwyczaj, lecz nie za pomocą represji karnej, ale — jak powiada W. Swida — drogą „wytworzenia odpowiedniej opinii publicznej" oraz odebrania pojedynkowi w wojsku cech czynu honorowego. Ustawodawstwa karne zaliczają zwykle pojedynek do przestępstw, z tym że najczęściej traktują go jako przestępstwo przeciwko zdrowiu lub życiu człowieka.

Ze względu na prawdopodobne skutki pojedynku rozróżnia się najczęściej trzy jego formy: pojedynek do chwili „pierwszego krwawienia" „pojedynek do chwili niemożności dalszego prowadzenia walki przez jedną ze stron pojedynkujących się (tj. zwykle do zadania ciężkiej rany), wreszcie pojedynek prowadzony pod warunkiem walki aż do śmierci jednego z przeciwników (warunek walki śmiertelnej).

Ta ostatnia forma miała mieć miejsce w pojedynku Puszkina. Wymagało się obecności dwóch sekundantów każdej strony, ale odbycie pojedynku w obecności jednego sekundanta (każdego z przeciwników) też było ważne. Najistotniejsza rola sekundantów polegała na stwierdzeniu, czy istnieje „równość broni obu stron" oraz czy żaden z walczących nie posiada przedmiotów lub ubrania, które mogłyby nadać pojedynkowi charakter walki nierównej. Ostatni warunek (tj. ubranie) w pojedynku Puszkina był często podnoszony jako pogwałcenie zasad walki, gdyż zarzucano d'Anthesowi, że miał na sobie siatkę metalową, która uchroniła go przed ciężkim zranieniem.

Od tradycyjnego pojedynku trzeba odróżnić tzw. pojedynek amerykański, polegający na załatwieniu sporu honorowego (między dwoma osobami) za pomocą umowy, oddającej losowaniu rozstrzygnięcie pytania, która ze stron ma odebrać sobie życie? Wbrew swojej nazwie taka forma nie znana jest ustawodawstwu amerykańskiemu.

Pojedynek Puszkina odbył się za miastem. Odległość między barierami strzału wynosiła 10 kroków. Pojedynkujący się stali od siebie w odległości ok. 20 kroków (każdy w odległości 5 kroków od bariery). Na odpowiedni znak zeszli się i rozpoczęli strzelanie z pistoletów — aż do skutku. D'Anthes nie doszedł do bariery, strzelił pierwszy. Puszkin, który nie był jeszcze przy barierze, upadł i wypuścił pistolet. Po chwili uniósł się, poprosił o drugi pistolet i strzelił. Widząc, jak d'Anthes upadł, krzyknął „bravo!", po czym stracił przytomność. Sekundantem Puszkina był ppłk Danzas, d'Anthesa zaś — vicehrabia d'Archiac, francuski dyplomata w Petersburgu.

Zaplecze tego pojedynku jest skomplikowane i do końca nie wyjaśnione. Okres po zawarciu ślubu z Natalią Gonczarow (luty 1831 r.) był dla Puszkina trudny. Wtedy to Mikołaj I mianuje go tylko kamerjunkrem, a nie szambelanem. Poeta staje się w środowisku dworskim ofiarą systematycznej pogonki i szykan. Krytyczny jest rok 1836, kiedy to Puszkin otrzymuje anonim, z którego wynika, że mianowany został na członka „Zakonu Rogaczy" i ma pełnić funkcję „historiografa" tego zakonu.

Bezpośrednim powodem ostatecznego konfliktu stało się potajemne spotkanie żony poety z d'Anthesem, o czym poeta znowu dowiaduje się z anonimu, prawdopodobnie sfabrykowanego przez holenderskiego dyplomatę Heeckerena, który usynowił D'Anthesa. Puszkin traci cierpliwość i wzywa Heeckerena na pojedynek po raz drugi zresztą. Tym razem wyprowadzony zostaje w pole, Heeckeren deleguje bowiem samego d'Anthesa. Poeta nie ma wyjścia, gdyż owo „delegowanie" przenosiło całą sprawę z niezbyt pewnego terenu listów anonimowych na oczywisty (przynajmniej pozornie) grunt „romansu" d'Anthesa z żoną Puszkina.

Wydaje się jednak słuszne twierdzenie, że śmiertelny pojedynek Puszkina był wywołany nie przez faktyczną zdradę żony (nie ma żadnych dowodów jej winy), ale przez fakt, iż Puszkin wystąpił tu w obronie honoru swego i

Kamena str. 10

WOLNA TRYBUNA

RANGA ZAWODU

WYBITNI uczeni amerykańscy Purcell i Oppenheimer stwierdzili, że obecnie na świecie pracuje tylu uczonych, ilu w ogóle istniało w kilkutysięcznych dziejach cywilizowanego świata! Niektórzy obliczają, że w ciągu ostatnich 200 lat liczba uczonych ulegała podwojeniu co 10 lat. Według tych szacunków w 1910 r. liczba osób pracujących naukowo (bez humanistów) wynosiła na świecie 15 tys., a w 1964 r. było ich już 2 miliony!

Współczesne środowisko naukowe jest wysoce zróżnicowane i przechodzi okres szybkich i dynamicznych przeobrażeń. Dominującą jego cechą jest przede wszystkim gwałtowny wzrost liczby i roli specjalistów różnych dziedzin.

Istnieją więc wyłączone miasta i dzielnice uczonych, powstają olbrzymie instytuty naukowo-badawcze, centra informacji naukowej i laboratoria, zatrudniające wiele tysięcy osób. Ostatnio coraz częściej zatrudnia się teoretyków nawet w małych zakładach pracy lub ogniwach administracji (naukowa organizacja pracy, socjologowie, psychologowie) i przywiązuje się do ich poczynań i werdyktów znaczną rolę.

Procesy te wytworzyły wokół pracownika nauki swoisty mit. W wielu ankietach, przeprowadzanych przez polskich socjologów, zawód pracownika nauki plasowano w pierwszej trójce najbardziej szanowanych i godnych podziwu profesji współczesnej doby. W odczuciu społecznym zawód ten łączy się bowiem z pojęciem szybkiego awansu, sławą i pewnymi szczególnymi przywilejami. Wiele osób sądzi również, że grupa ta należy do najlepiej usytuowanych materialnie.

Nie sugerując się jednak mitami, spróbujmy trzeźwo i realistycznie spojrzeć na tę specyficzną profesję.

Zawód pracownika nauki w istocie nie jest godny pozazdroszczenia. Przede wszystkim charakteryzuje go cierniowa droga awansu. Zdobycie pierwszych „gwiazdek oficerskich" w tej dziedzinie wymaga wielu lat „czeladnikowania" w feudalnym tego słowa pojęciu. W instytutach naukowych wielu pozostaje do końca życia laborantami, uczestniczącymi w zbiorowych pracach, których efekt końcowy jest albo anonimowy, albo podpisany przez nadrzędnego organizatora. W ogóle dominującą cechą współczesnej nauki jest zespołowość, która odbiera efekt najważniejszy: indywidualny laur zwycięstwa. W uczelniach wyższych asystenci, a następnie (po wielu latach pracy) adiunkci, łączyć muszą w sobie funkcje czeladników z pracą: dydaktyczną, administracyjno-biurową, intensywnym samokształceniem oraz przygotowaniem rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. W okresie tym nie mają wysokich zarobków. Wejście na tę drogę wcale nie oznacza — nawet przy posiadaniu talentu, pracowitości i chęci — osiągnięcia celu. Każdy z nich bowiem podlega rotacji, którą spowodować może niechęć przełożonego, ryzyko związane z tematem pracy itp.

Dodajmy najważniejsze. Postęp specjalizacji we wszystkich dziedzinach nauki sprawia coraz bardziej, że opanowanie wiedzy w wybranej dziedzinie (szczególnie w naukach ścisłych) wymaga wprost niesłychanego wysiłku umysłowego i fizycznego (tak!) oraz zawężania się do bardzo wąskiej specjalności (uczony — stwierdzają niektórzy — to człowiek, który coraz więcej wie o coraz węższej dziedzinie; w efekcie wie dużo o niczym). Wysoka samokontrola, rosnące stale ambicje, atmosfera współzawodnictwa (on ma pięć prac, a ja cztery), wieczny niedosyt wiedzy i własnych osiągnięć — wszystko to wywołuje długotrwałe stany stressowe, napięcia nerwowe, przeciążenia psychiczne, kompleksy, huśtawkę pomiędzy kompleksami wyższości i niższości i wreszcie nierzadko neurastenię oraz egocentryzm. Wszystkiemu temu towarzyszy stałe i nękające poczucie — „że mógłbym zrobić więcej i lepiej". Wielu pracowników, przekraczając zasady higieny psychicznej, pracuje w związku z tym ponad miarę, kosztem życia rodzinnego (cóż z nich za fatalni współmałżonkowie!) oraz ogólnego rozwoju własnej kultury umysłowej. Wielu z godnym podziwu wysiłkiem usiłuje nie zrywać kontaktu z literaturą piękną, filmem lub teatrem — ale w zasadzie zanikł już wśród nich typ salonowego „rezonera". Są więc w masie nieatrakcyjni pod względem towarzyskim i dość obojętni wobec życia społecznego i kulturalnego (zakład-dom, dom-zakład).

W tym układzie w szczególnie trudnej sytuacji znajdują się pracownicy wyższych uczelni. Kojarzą oni bowiem, w odróżnieniu od pracowników instytutów, pracę naukowo-badawczą z dydaktyką i administracją wewnętrzną (podlega im nawet inwentaryzacja i odpowiedzialność materialna za majątek katedry czy zakładu). Jest przy tym rzeczą wysoce niezrozumiałą, że mimo wielokrotnych zapewnień i deklaracji, na uczelniach deprecjonuje się osiągnięcia w zakresie dydaktyki, a za jedyne kryterium przydatności lansuje się prace naukowo-teoretyczne. Nic dziwnego, że mamy więc do czynienia z częstym rozkojarzeniem funkcji, ze szkodą dla studentów.

Poważną bolączkę w życiu pracowników naukowych stanowi nienadążające za potrzebami i możliwościami wyposażenie techniczne ich warsztatów pracy oraz stojąca na niewłaściwym poziomie informacja naukowa.

Obraz przedstawiony powyżej jest oczywiście nieco przerysowany. Wśród pracowników nauki, nie ma potrzeby tego ukrywać, jest sporo osób niższego lotu, którzy nie podlegają takim presjom ambicji i samokontroli. Część z nich spełnia ważne funkcje w zakresie dydaktyki prostej (przekaźnikowej) oraz w kontaktach uczelni ze światem zewnętrznym i w ten sposób zastępuje zafascynowanych i pochłoniętych pracą wyłącznie naukowo-badawczą. Są i tacy, którzy unikając „nieprzetartych" dróg, zdobywają szczebel po szczeblu bez wielkiego wysiłku i osobistego zaangażowania.

Pracowników naukowych cechuje zresztą różnorodność postaw, stopni zdolności i talentów oraz predestynacji psychicznych.

W każdym razie wszyscy oni spełniają niezwykle ważną funkcję społeczną — stanowią istotny warunek postępu techniki, cywilizacji i kultury. Przynajmniej do czasu, gdy funkcje te przejmą... maszyny, stworzone przez nich samych. Ale to dość odległa przyszłość.

Nim się to stanie, „Kamena" powinna wrócić jednak do tego tematu. Bądź co bądź zespół pracowników naukowych w naszym regionie jest już niebagatelny (liczy chyba już około 2000 osób) i stosunkowo ekspansywny. Z całą pewnością wywiera on poprzez swe kontakty, uczniów oraz rangę zawodu poważny wpływ na życie społeczne i kulturalne regionu. Stały rozwój jego poziomu i efekty pracy winny więc stać się ambicją wszystkich.

Zdzisław Okoniewski

Biografistyka ciągle młoda

Dokończenie ze str. 7

skiego antytrynitaryzmu, oglądanej oczyma czołowego przedstawiciela tego nurtu".

Prawdziwym ewenementem na polu biografistyki jest studium Stefana Kieniewicza: „Między ugodą a rewolucją (Andrzej Zamoyski w latach 1861—62)". Autor stwierdza we wstępie: *Nie piszemy tu całego życiorysu Andrzeja Zamoyskiego, interesują nas dwa lata jego życia. Dano jednak w rozdziale pierwszym ogólną charakterystykę człowieka i działacza w oparciu o materiał z lat 1857—1860. Natomiast rozdział ostatni gra wyłącznie rolę epilogu i uwzględnia tylko niektóre wypowiedzi „pana Andrzeja" z okresu jego pobytu na Zachodzie. Pięć rozdziałów środkowych analizuje działalność Zamoyskiego jako przedstawiciela obozu białych: stąd tytuł książki, uwzględniający najbardziej znamienną cechę tego obozu — jego wahania się między ugodą a rewolucją.*

Mimo formalnej niekompletności chronologicznej wykładu praca jest jednak życiorysem Andrzeja Zamoyskiego. Opracowane lata to z pewnością najważniejsze czasy w karierze Andrzeja Zamoyskiego — w latach 1861—1862 stał „na świeczniku" życia politycznego, każde jego słowo i posunięcie było rejestrowane, znaczyło. W tym też kontekście pierwszy i ostatni rozdział książki stanowi więcej niż prolog — epilog. Praca zarysowuje kompletny wizerunek polityka, działacza, a także „człowieka prywatnego", jest nie tylko biografią jednostki, ale też obrazem wielkiego politycznego obozu i społecznego środowiska.

Również praca Ryszarda Kołodziejczyka: „Bohaterowie nieromantyczni. O pionierach kapitalizmu w Królestwie Polskim" odbiega od klasycznej konwencji pisarstwa biograficznego. Rozdział pierwszy pracy autor poświęcił nakreśleniu tła epoki — opisowi ówczesnej Warszawy, jej życiu towarzyskiemu warstw arystokratyczno-biurokratycznych i najzamożniejszej burżuazji. Rozdziały następne to szkice losów kilku pionierów gospodarki kapitalistycznej — Józefa Lubowidzkiego, Henryka i Tomasza Łubieńskich, wreszcie Piotra Steinkellera. Owocem tak pomyślanej konstrukcji jest pewnego rodzaju biografia zbiorowa „bohaterów nieromantycznych" — pionierów współczesnego przemysłu i handlu, techniki i cywilizacji.

Przytoczone przykłady świadczą, że biografistyka, która — rachując tylko od Plutarcha — liczy sobie już blisko 19 wieków, jest nadal żywa, rozwijająca się, mieniąca się całą gamą pomysłów i, co najważniejsze, mająca wciąż nowe i cenne osiągnięcia.

Adam Andrzej Witusik

Krzyżówka nr 10

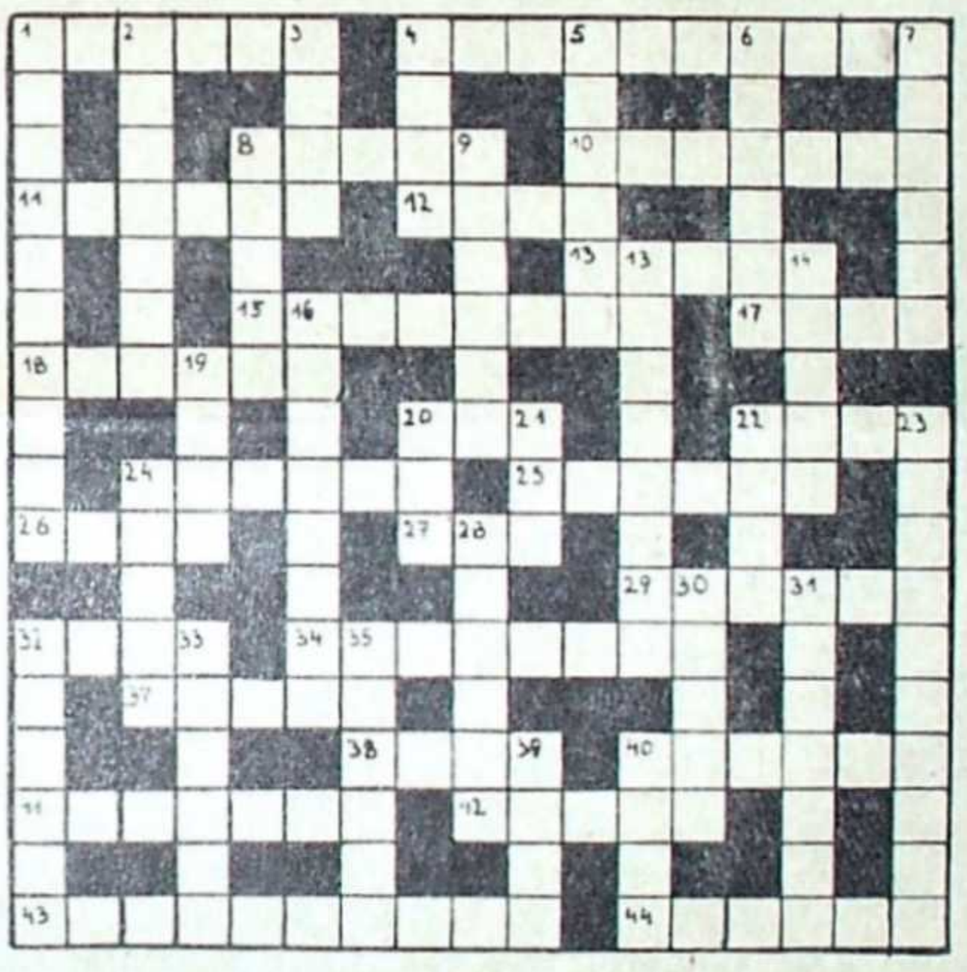

POZIOMO: 1. Wielki poeta polski XIX wieku, 4. naukowiec z dziedziny przestępstwa jako zjawiska społecznego, 8. pisarz-socjalista związany z Lublinem, 10. poeta — powstaniec z 1831 r., związany twórczością z folklorem ukraińskim, 11. wymarłe krewniaki słoni, 12. mieszkaniec europejskiego państwa, 13. Indianin z terytorium obecnego Meksyku, 15. kraina w Jugosławii nad Adriatykiem, 17. drzewo, którego liść jest herbem Kanady, 18. przyjaciel Sherlocka Holmesa, 20. uroczysty wiersz, 22. fusy na dnie naczynia, 24. niska kondygnacja, 25. sklepienie pod kościołem, w którym chowano zmarłych, 26. katolicki klub poselski, 27. część gry w tenisa, 29. miasto powiatowe w woj. rzeszowskim, 32. świątynia protestancka, 34. sąsiad W. Brytanii, 37. słowo, 38. pisarz opisujący zdarzenia, 40. potoczna nazwa robinii, 41. brzeg, 42. główna tętnica, 43. wbijanie trójkątnego kawałka drewna lub metalu, 44. działo.

PIONOWO: 1. poeta, autor „Śpiewów historycznych", 2. pisarz polski, laureat Nobla, 3. określenia dni i miesięcy, 4. więcej niż świetlica, 5. beksa, mazępa, 6. polski taniec ludowy, 7. imię znanego karykaturzysty współczesnego, 8. dużo zwierząt, 9. wielki kot doganiający antylopy, 12. wielki hetman i kanclerz koronny związany z Lubelszczyzną (ortografia tradycyjna), 14. w szkole, społeczeństwie i loterii pieniężnej, 16. nauka o budowie ciała ludzi, zwierząt i roślin, 19. jeden ze zmysłów, 20. udziela kredytu na zakup ratalny, 21. obraz nago, 22. imię męskie, 23. władza ludu, 24. wąwóz, 28. na zębach i miednicy, 30. miejscowość kuracyjna u stóp Gorców, 31. kiepska strawa dla konia, 32. miejsce lądowania skoczka, 33. starorzymski wóz bojowy, 35. dzieło plastyka, 39. drugi po Jokohamie wielki port Japonii, 40. willa Szymanowskiego w Zakopanem.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 121). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8

POZIOMO: wydawca, Smetana, powóz, molo, taca, Rawik, larwa, hindi, Karol, Marna, Orawa, Kraksa, omasta, materac, Amelia, Eluard, denatka, Krosno, Nantes, skraj, Antek, Artur, linia, order, organ, tlen, Ebro, totem, gniazdo, alkazar.

PIONOWO: wzornik, armia, Apollo, kwarta, sztama, Twain, ankieta, okres, chrom, Wkra, naos, ratunek, warstwa, rumor, koios, Amado, ocean, alumn, Tarle, Kipling, Oran, Natal, autor, targ, Stentor, skonto, reduta, Jarema, nitka, uroda.

Nagrody otrzymują:

1. Bronisław Haba, Sandomierz, ul. Żeromskiego 12;
2. Irma Partykiewicz, Lublin, ul. Dymitrowa 5/3;
3. Maria Leonard Gaś, Pabianice, ul. Fornalskiej 5 m. 4;
4. Barbara Koś, Radom, ul. Miła 27 m. 28.

swojej żony. Z pewnością też i „flirt" cesarza z piękną żoną poety nie był w tej tragedii bez znaczenia. Można zatem powiedzieć, że Puszkina zabił paszkwil. Nie udało się jednak uchwycić cząstkowej prawdy, wyjawionej poprzez poetę podczas agonii, ani też moralnego sprawcy tej śmierci. Jak powiada W. Lednicki „kula, która wyszła z lufy pistoletu (poety), tylko jednego mordercę wskazała, może najbardziej pospolitego, wulgarnego". Warto dodać, iż dopiero w r. 1931 ustalono, że autorem anonimów był książę Dołgorukow, a nie baron Heeckeren — jak sądził Puszkin. Sporo informacji o tych sprawach dostarczają pośród polskich opracowań artykuły Cz. Zgorzelskiego, opublikowane w „Kurierze Wileńskim" z 21, 22, 23 kwietnia 1937 r., oraz J. Tuwima w „Wiadomościach Literackich" z 14 lutego 1937 r.

Puszkin został ranny w dolną część brzucha, zaś d'Anthes — w prawą rękę i lekko w brzuch. O godz. 2.45 dnia 29 I 1837 r. (10 II) Puszkin zmarł. Tegoż też dnia Mikołaj I podpisał rozkaz („Wysoczejszeje powielenie") o pociągnięciu do odpowiedzialności przez sąd wojskowy uczestników tego pojedynku, tj. d'Anthesa, Puszkina i sekundantów.

Podstawą wszczęcia śledztwa był raport lekarza policyjnego, przekazany Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Dowódca Korpusu Gwardii Cesarskiej wydał rozkaz wszczęcia śledztwa i przy konnym pułku tej gwardii (w którym służył d'Anthes) powołana została specjalna „Komisja sądowa", na której czele stanął pułkownik Brewern. Sędzią śledczym został sędzia wojskowy Masłow. Śledztwo w zasadzie ograniczono do osób bezpośrednio i pośrednio biorących udział w tym pojedynku. Wyłączono cudzoziemców, wobec których nie można było wydawać wyroku, a tylko „przedłożyć o nich osobny raport z zaznaczeniem stopnia ich udziału w sprawie". Dlatego nie przesłuchano szeregu osób, a wiele kwestii nie zostało w ogóle wyjaśnionych. Po śmierci Puszkina śledztwo było właściwie prowadzone przeciwko d'Anthesowi i pułkownikowi Danzasowi, którzy nadesłali wspomnianej komisji krótkie wyjaśnienia. Lekarz wojskowy, Stefanowicz, dokonał oględzin lekarskich ran odniesionych przez d'Anthesa, stwierdzając, że kula po przebiciu ręki nie dotknęła kości, lecz trafiła w jakiś twardy przedmiot. Stan zdrowia d'Anthesa był dobry.

W dniu 6 lutego 1837 r. przesłuchano po raz pierwszy d'Anthesa, który przedstawił wówczas okoliczności, w jakich poznał Puszkina i okazał jego list (z dnia 26 I 1837), adresowany do barona Heeckerena, zniesławiający go i zabraniający spotkania się z żoną poety. Następne przesłuchanie d'Anthesa (w dniu 10 lutego) miało głównie na celu wyjaśnienie charakteru korespondencji, jaką prowadził on z żoną poety. Wyjaśnił wówczas, że listy te mogły wywołać zazdrość poety, ale pisał je jeszcze przed swoim ślubem z siostrą Puszkinowej. Przesłuchany na te okoliczności sekundant Puszkina, Danzas, nie potwierdził ich, stwierdzając wprost, że d'Anthes po swoim ślubie w dalszym ciągu „prześladował Puszkinową swymi uczuciami" i że między innymi wymusił na niej spotkanie w mieszkaniu jednego z oficerów pułku. Trzecie przesłuchanie d'Anthesa, które miało wyjaśnić drażliwe kwestie jego stosunków osobistych z żoną poety, zakończyło się zupełnym fiaskiem, gdyż d'Anthes wszystkiemu zaprzeczył. Nie doszło też do skutku przesłuchanie żony poety, ponieważ komisja — wobec tajnego polecenia samego cara — nie uwzględniła w tej kwestii wniosku sędziego śledczego, tłumacząc swoją decyzję koniecznością, „ażeby bez przyczyny nie obrażać pani Puszkinowej".

W dniu 16 lutego śledztwo zostało zakończone. Komisja sporządziła „notatkę", która zawierała bardzo szczegółową treść oskarżenia i została przedstawiona w dniu 19 lutego 1837 r. d'Anthesowi oraz Danzasowi. Był to akt oskarżenia, gdyż na końcu „notatka" zawierała konkluzję i kwalifikację prawną. Zastosowano wobec oskarżonych areszt bezwzględny (jako środek zapobiegawczy), jednakże w stosunku do d'Anthesa miał on charakter aresztu domowego (oskarżony przebywał w swym mieszkaniu z powodu ran otrzymanych w pojedynku).

W momencie rozpoznania tej sprawy, w Rosji obowiązywało jeszcze wojskowe ustawodawstwo Piotra I z roku 1702, które zawierało bardzo ostre sankcje. Kara śmierci była przewidziana dla wszystkich uczestników pojedynku, niezależnie od wyników walki. Art. 132 ustawy z r. 1702 przewidywał, że w wypadku śmierci uczestników pojedynku należy ich „po śmierci za nogi powiesić".

Wyrok zapadł w dniu 19 lutego 1837 r. D'Anthes i Danzas skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie. Wskazano także, iż karze tej podlegałby i Puszkin, gdyby pozostał przy życiu. Komisja w oddzielnym raporcie („notatce"), dotyczącym cudzoziemców, uznała: barona Heeckerena winnym nakłaniania żony Puszkina do flirtów miłosnych z przybranym jego synem oraz nakłaniania d'Anthesa do wzięcia udziału w pojedynku: vicehrabiego d'Archiasa — sekundanta d'Anthesa skazała na wygnanie (zdążył już opuścić Rosję).

Wyrok ten został przedstawiony sztabowi Korpusu gwardii w celu dołączenia opinii władz zwierzchnich. Dowódca pułku kawalergardów dołączył opinię o konieczności ułaskawienia skazanych przez zdegradowanie i wysłanie jako szeregowych do innych miast. Dowódca Korpusu, kierując sprawę do „Departamentu audytorskiego" (jako ostatniej instancji), słusznie zwrócił uwagę na pewne uchybienia, jak np. nieprzesłuchanie żony poety, brak orzeczenia lekarskiego o śmierci Puszkina. Tenże „Departament" po zasięgnięciu opinii z Ministerstwa Dworu o posiadanym przez Puszkina tytule kamerjunkra zmienił wyrok. Uznał co prawda, że d'Anthes brał udział w prześladowaniu żony Puszkina jednakże pozbawił go tylko szlif oficerskich i praw szlacheckich. Pułkownik Danzas został skazany na zamknięcie w twierdzy przez 2 miesiące. Cesarz Mikołaj I w dniu 18 marca 1837 r. wyrok ten zatwierdził. Ponadto nakazał d'Anthesa „jako nierosyjskiego poddanego wysłać za granicę pod eskortą żandarmów". Tak samo na żądanie cesarza odwołany został z Rosji poseł holenderski Heeckeren. D'Anthes wrócił do Francji (z żoną) i przez długi czas piastował tam stanowisko senatora.

Pojedynek Puszkina odbił się głośnym echem za granicą, a przede wszystkim we Francji, w której pojedynek nie był jeszcze całkowicie uregulowany prawnie i rzadko karany, zwykle wówczas, gdy nie zachowano warunków. We Francji wpływ pojedynku Puszkina znalazł odbicie w poglądach Sądu Najwyższego, który w dniu 22 6 1837 r., odstępując od poprzednich tez, zdecydował, że zabójstwo lub rana zadana w pojedynku podpadają pod sankcję ogólnych przepisów kodeksu karnego. W grudniu 1837 połączone Izby „uroczyście potwierdzają tę nieoczekiwaną i radykalną zmianę orzecznictwa, trwającego niezłomnie pół wieku".

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 253-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.

Zam. 3462. 8.X.69. 8000. F-4

PRZYJACIELE

TRUDNO żyć bez przyjaciół — nawet uczelni, która wprawdzie powstała na podstawie decyzji najwyższych władz państwowych, ale w momencie niezwykle trudnym, skomplikowanym i nie obfitującym w środki materialne. UMCS bowiem powstawał, jako pierwsza uczelnia na świecie, tuż za linią frontu, 8 miesięcy przed zakończeniem najstraszliwszej w dziejach ludzkości wojny.

W tym trudnym okresie UMCS potrzebował więc nie tylko pomocy władz, ale i społeczeństwa. A trzeba przyznać, że wtedy nie wszyscy rozumieli, jak wielkie znaczenie dla Lubelszczyzny i sąsiadujących z nią regionów posiada wyższa uczelnia państwowa. Z kół reakcyjnych, związanych z aktywizującym się podziemiem, odzywały się nawet głosy protestu.

Taka sytuacja zrodziła myśl silniejszego związania organizującego się UMCS ze społeczeństwem. Ówczesny przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, Ludwik Czugała, rzucił myśl powołania organizacji społecznej — i tak 27 marca w sali konferencyjnej Urzędu Wojewódzkiego odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa Przyjaciół UMCS z udziałem 64 osób, reprezentujących władze polityczne, administracyjne i organizacje społeczne oraz zawodowe. Uchwalony statut stwierdzał, że celem Towarzystwa jest popieranie działalności naukowej i pedagogicznej Uniwersytetu, popularyzowanie jego dorobku, niesienie pomocy materialnej uczelni celem budowy nowych gmachów i powiększania wyposażenia naukowego oraz pomoc materialna niezamożnej młodzieży akademickiej, a także budowa domów akademickich.

Nie sposób przypomnieć tu wszystkiego, co zdziałało Towarzystwo. Więc tylko kilka spraw. Zaczęło się od uwieńczonych sukcesem starań o zdobycie baraków, które stałyby się prowizorycznym zaczątkiem własnych mieszkań dla studentów. Dużym wysiłkiem było odbudowanie całkowicie zniszczonego budynku przy ul. Lubartowskiej 50, w którym do dzisiaj mieści się Klinika Stomatologiczna. Towarzystwo występowało tu nie tylko w roli inicjatora, ale drogą składek, zbiórek i uzyskanych dotacji zgromadziło wszystkie środki potrzebne do odbudowy, występując częstokroć w roli zaopatrzeniowca. Towarzystwo zakupywało pomoce naukowe, książki dla katedr i studentów, ufundowało insygnia rektorskie i togi, udzielało studentom zapomóg i pożyczek, finansowało wiele potrzeb organizacji studenckich i kół naukowych, pokrywało koszty wielu imprez naukowych, wspomagało studenckie organizacje kulturalne. Dla przykładu: wydatki w jednym tylko 1948 r. wyniosły 1 911 573 zł (w dawnej walucie).

To właśnie dzięki długim zabiegom Towarzystwa Przyjaciół UMCS i za jego pieniądze zorganizowano dwa konkursy na zabudowę dzielnicy uniwersyteckiej, dzięki którym powstała ona w takim kształcie, w jakim ją widzimy dzisiaj. Towarzystwo również zmobilizowało studentów oraz społeczeństwo miasta do rozpoczęcia na wielką skalę prac społecznych przy budowie dzielnicy. Jego staraniem w tym rejonie miasta wybudowano pomnik patroński UMCS — Marii Curie Skłodowskiej. Towarzystwo uzyskało również pokaźne środki na budowę ogrodu botanicznego na Sławinku, który właśnie w tych dniach został przekazany społeczeństwu.

Jakkolwiek Towarzystwo — z biegiem czasu przemianowane na Towarzystwo Przyjaciół UMCS, AM i WSR — nie prowadzi już bezpośredniej działalności inwestycyjnej i nie pokrywa bieżących potrzeb uczelni, gdyż zabezpieczają to budżety, jak również fundusze stypendialne, to przecież nadal interesuje się żywo inwestycjami, zabiegając u różnych władz o odpowiednie środki. Prowadzi również, a w razie potrzeby finansuje, różne akcje naukowe i społeczne.

Najważniejszym jednak osiągnięciem Towarzystwa jest to, że związało ono mocno lubelskie uczelnie ze społeczeństwem. Na zebraniu organizacyjnym Towarzystwa w 1946 r. przewodniczący WRN Ludwik Czugała mówił m. in.: „Uniwersytet poprawi swój byt, spełni należycie swoje zadania, jeżeli wszystkimi korzeniami wrośnie w społeczeństwo i z niego zacznie czerpać najlepsze, odżywcze soki... Zrobimy wszystko, aby Uniwersytet MCS w Lublinie nosił powszechną nazwę „Nasz", uniwersytet demokratyczny, uniwersytet robotników, chłopów i pracującej inteligencji".

Dzisiaj mamy prawo powiedzieć, że tak właśnie się stało.

(j)

BIG-BEAT

Pegaz na schodach

PANIE Redaktorze! W poprzednim numerze „Kameny" Tadeusz Kłak zamieścił recenzję pięciu zbiorków poetów chełmskich, które ukazały się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Przeczytałem ją z zainteresowaniem i nawet zdziwiłem się, że „Kamena", tradycyjnie z Chełmem związana, tak ostro potraktowała te tomiki. Później dowiedziałem się, że Pan był na urlopie i nie może odpowiadać za ów kubeł zimnej wody wylany na rozentuzjazmowane głowy współczesnych twórców niedźwiedziego grodu. Rozentuzjazmowane, bo w tym samym czasie „Kurier Lubelski" drukuje panegiryki nasuwające nieodparte wrażenie, że Chełm nie rezygnuje z roli liczącego się ośrodka poetyckiego i to w skali ogólnopolskiej.

Nie chcę na ten temat wypowiadać się szerzej, może uczyni to KAJ, który poniekąd ów bakcyl poezji przed 36 laty w Chełmnie zaszczepił, i który ciągle uważany jest za patrona i późniejszych poczynań, aczkolwiek w tzw. międzyczasie chełmski Pegaz nieraz stawał dębem.

Po tym krótkim wstępie, który wydał mi się konieczny, przystąpię do rzeczy, która jest i niesmaczna i niepokojąca zarazem. Jeśli chełmscy poeci pragną, aby ich traktować poważnie, nie mogą takich historii tolerować.

Oto równocześnie w Lublinie i w Warszawie ukazały się dwa zbiorki poetyckie pióra Kazimierza Eugeniusza Steszuka. W Lublinie — nakładem Wydawnictwa Lubelskiego — zbiorek pt. „Śladami Pegaza" i w Warszawie — nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — zbiorek pt. „Schody gwiazd". Myślę, że Pan Redaktor uważnie przejrzał te książeczki, zwłaszcza, że w obu znajdują się wiersze Panu Redaktorowi dedykowane. I oba wiersze mają treść identyczną. Prawie identyczną, w „Śladami Pegaza" jest bowiem przy końcu dodatkowa linijka („dla ciebie — nie, mowa nie o Panu, tylko o rzece Uherce! — te pieśni").

Jeden wiersz powtórzony... Pal licho! Mogło się zdarzyć. Nie poruszałbym tego tematu, gdybym w „Śladami Pegaza" nie znalazł aż osiemnastu — (na 24) tych samych utworów, albo prawie tych samych, które zawiera książeczka pt. „Schody gwiazd".

Służę konkretnymi przykładami.

Na str. 9 w „Śladami Pegaza" znajduję utwór bez tytułu (w całym zbiorku nie ma tytułów, są tylko liczby) nr I. Ten sam wiersz widnieje na 38 str. w „Schodach gwiazd", ale wyskoczyła linijka „w cichych zaułkach Chełma" i nieco inne jest zakończenie. W „Schodach gwiazd" „czy odnajdę / dzieciństwa skarbiec", a w „Śladami Pegaza": „czy odnajdę w tym mieście / dzieciństwa skarbiec / wzgórze słonecznych snów".

Na tejże str. 9 w „Śladami Pegaza" zaczyna się utwór nr II, który w zbiorku LSW nosi tytuł „Miastu mojej młodości" (str. 56—57). Zmienione są dwie linijki i również zakończenie (w „Śladami Pegaza" dochodzi zwrotka: „O Miasto! / grodzie mój radosny wśród kredowych wzgórz / czy słyszysz moją spowiedź?").

Wiersz IV ze „Śladami Pegaza" (str. 11—12) odkrywam na 44 str. w „Schodach gwiazd". Utwór autor poświęca ojcu. W „Śladami Pegaza" każe mu siedzieć na „sosnowym prostokącie ławki", natomiast w „Schodach gwiazd" na „żelaznym paragrafie ławki". Dla wygody? W „Śladami Pegaza" „krzykliwe wilgi w chłodnych konarach drzew / modlą się o deszcz", natomiast w „Schodach gwiazd" „wilgi w konarach drzew / modlą się o deszcz". Jak z tego wynika wilgi już nie krzyczą, a konary drzew przestały być chłodne. Inny klimat w Warszawie?

Mogę cytować i cytować, jak to np. „krzyk pomnika" zmienia się w „wykrzyknik pomnika", „Borek" w „las", „strofy oszronionych wierszy" w „strofy jesienią napisanych wierszy", „po latach" w „za iks lat", „rdzawe trawy" w „trawy rdzawe", „przefrunęły gwarną szarańczą ponad kształtem ziemi" w „przemknęły gwarną szarańczą ponad miastem..."

Drobiazgi, powie Pan Redaktor? Oczywiście, że przy rozbiciu jądra atomu wszystko jest drobiazgiem...

Jeśli mi jednak ktoś będzie się starał udowadniać, że 1) Polska Ludowa nie popiera twórczości poetyckiej, 2) papieru mamy mało, 3) wydawnictwa stanowią hermetycznie zamknięte instytucje... Właśnie? Co wtedy uczynię? Pójdę śladami Pegaza, wstąpię na schody gwiazd i stamtąd strącę faceta na ziemię, by wiedział, gdzie żyje.

Pan Redaktor, oczywiście, może tego mojego kazania nie wydrukować. Jeśli Pana posądzę o kumoterstwo czy posiadanie gołębiego serca, będzie to wyłącznie moją prywatną sprawą. Casus K. E. Steszuka prywatną sprawą jednak nie jest, godzi bowiem w całe chełmskie środowisko poetyckie, w oba Wydawnictwa i w zwykłego szarego czytelnika, który kupuje dwie książeczki, a w zasadzie — jedną.

A swoją drogą sam wypadek nie należy w Polsce do wyjątków. Niekiedy i starsi stażem pisarze (choćby Jan Szczawiej) postępują podobnie. Jeśli nie ma nowych wierszy — wypadałoby po prostu milczeć!

Jacek

PRECZ Z PEDANTERIĄ!

CO SIĘ dzieje na tym świecie? Nawet w kulturalny sposób nie można zwrócić uwagi na pewne nieścisłości? Zaraz musi spadać z głowy korona?

Jalu Kurek zamieścił w 39 numerze „Życia Literackiego" reportaż pt. „Makedonija — róża południa", w którym przedstawił swe wrażenia z dorocznego festiwalu poetyckiego w macedońskim miasteczku Struga w Jugosławii. W trakcie lektury tego materiału nasunęły mi się pewne wątpliwości, miałem nawet zamiar napisać w tej sprawie list do „Życia". Nie uczyniłem tego, bo wspomniany numer „Życia" nabyłem w Bratysławie z pewnym opóźnieniem, a w kilka dni po powrocie do Polski przejrzałem już numer 41, w którym Krystyna Bąk, studentka filologii słowiańskiej, w rzeczowy sposób przedstawia pewne uwagi krytyczne na temat spostrzeżeń Jalu Kurka.

Poeta krakowski odpowiada: „Zaawansowana studentka filologii słowiańskiej (5 rok studiów) wyciąga jakieś szczegóły o Klimencie Ochrydzkim — zresztą po dziś dzień nie rozstrzygnięte — i pouza m n i e (podkreślenie MAJ) z całą powagą, że powinienem gdzieś tam dodać wtręt: „prawdopodobnie". Równie pedantyczny charakter mają pretensje co do kolejności najazdów na ziemię macedońską. Niemiłe jest to pedantyczne natręctwo, które pcha się na siłę do reportażu literata, a literat ten zresztą to, co napisał o historii tego obszaru, zaczerpnął z literatury przedmiotu dostarczonej mu przez gościnnych gospodarzy" itd. itd. i w zakończeniu: „Nasza zaawansowana studentka wydaje się nie orientować w charakterze literackiego reportażu, stanowiącego zapis wspomnieniowy autora, jego osobiste wrażenia, refleksje, oceny, a nie — sprawozdanie do ministerstwa z wyjazdu, programu zajęć i kosztów podróży..."

Oczywiście, można i w ten sposób reagować na krytykę. Ja jednak osobiście na miejscu Jalu Kurka bardzo bym się z takiego listu ucieszył. Zawsze bowiem raduje oddźwięk czytelników, nawet jeśli słusznie wytykają oni pewne błędy czy też niedomówienia. W danym wypadku — w niczym nie ujmując Jalu Kurkowi jako l i t e r a t o w i — mam jednak więcej zaufania do studentki filologii słowiańskiej niż do pisarza, tym bardziej gdy — jak sam przyznaje — dane co do historii tego obszaru „zaczerpnął z literatury przedmiotu dostarczonej mu przez gościnnych gospodarzy". Tak się złożyło, że przed kilkoma miesiącami również byłem w Skopje i w Ochrydzie, gdzie jak i Jalu Kurek miałem możność zapoznać się z „literaturą przedmiotu dostarczoną przez gościnnych gospodarzy". Uważałem jednak za stosowne tego tematu nie poruszać, gdyż uprzednio przestudiowałem materiały przygotowane przez Instytut Historii Bułgarskiej Akademii Nauk. Rozbieżności są zbyt wielkie, problem trzeba znać dogłębnie i nawet zorientowanie „w charakterze literackiego reportażu" niewiele pomoże, gdy w grę wchodzą poważne problemy i historyczne i polityczne zarazem.

Aby oddać sprawiedliwość współczesnej Macedonii, nie mogę się jednak zgodzić z takim np. zdaniem Jalu Kurka. Pisze on o Macedonii m. in.: „Kraj, w którym jest wszystko drogie z wyjątkiem sardynek (w porównaniu z Polską)". O cenach i przeciętnych zarobkach jugosłowiańskich pisałem obszernie w „Kamenie". Jedzenie w restauracjach jest rzeczywiście potwornie drogie, dlatego też restauracje świecą pustkami. Macedończycy jedzą w domu, przeważnie potrawy bezmięsne i dzięki temu jakoś wiążą koniec z końcem. Z drugiej jednak strony nie tylko sardynki, ale i odzież (koszule nylonowe, damskie sweterki, niektóre materiały), owoce jarzyny, a także takie drobiazgi, jak długopisy czy zapalniczki są jednak tańsze niż u nas, jakkolwiekbyśmy liczyli. Przy średnich zarobkach niższych niż w Polsce i przy nieoficjalnym zresztą kursie (5 zł za 1 nowy dinar) skromny obiad w restauracji kosztuje 50—100 zł, zapalniczka benzynowa (made in Austria) 35 zł, a koszula nylonowa — 135 zł. Jeść jednak — jak pisałem — człowiek musi codziennie, ale koszulę może kupić i jedną w ciągu roku. Dlatego znacznie bardziej odpowiada mi życie nad Wisłą, niż nad Wardarem.

„Precz z pedanterią" — nawołuje Jalu Kurek. Pięknie, ale aczkolwiek między s p r a w o z d a n i e m d o m i n i s t e r s t w a, j a k i s p r a w o z d a n i e m d o c z y t e l n i k ó w (a takim sprawozdaniem do czytelników jest przecież literacki reportaż) istnieją istotne różnice formalne — oba muszą opierać się nie tylko na osobistych refleksjach, ale i na faktach. A fakty sprawdzić stosunkowo łatwo. Skopje leży w Europie, nie na Marsie!

Marek A. Jaworski

Odpowiedzi redakcji

D. G. w Stalowej Woli. Posiada Pan spore umiejętności narracyjne. Znać otrzaskanie ze słowem pisanym — po prostu dobrze się czyta nadesłane teksty. Jest też pewne wyczucie tematu, sprawy ludzkiej. Ale — jak na literaturę — za mało Pan pogłębia swoje obserwacje, dosyć rzetelnie zebrane zresztą, zbyt dosłownie traktuje temat. Za bardzo to wszystko wygląda na doraźną reporterkę, wprawdzie z nachyleniem literackim, ale jednak! W tej sytuacji sensy ludzkie wypływające z opowiadań grzęzną często w uproszczeniach. Owo błyskawiczne „nawrócenie" byłego „urkesa", ta zewnętrzna głównie, bez szerszych analiz psychologicznych, walka boksera z własną starością, ów oczywisty „protest" przeciw nieludzkim prawom wojny, te obyczajowe tragedie zdradzających się małżonków czy zakochanego starego kawalera. Nadal trzymając się konkretów, musi Pan bardziej dbać o wielowarstwowość problemową utworów, o walor uogólnienia tekstów. Dostrzegamy na razie większe możliwości reporterskie niż sensu stricto literackiego. Czy nie spróbowałby Pan wyciągnąć z tego wniosków, jeśli idzie o wybór uprawianego gatunku? Bo pisać powinien Pan nadal.

W. G. w Ostrowie Wielkopolskim. Postacie papierowe, psychologia dziecinnie naiwna — tak oto mści się na autorach pedejmowanie tematów ekupacyjnych bez autobiograficznych do tego uprawnień. Pisaliśmy już o tym poprzednio. A że — sądząc z nadesłanych tekstów — i o język tej prozy można by się spierać, zaś owocność Pańskich kontaktów wydawniczych też wiele pozostawia do życzenia, więc radzimy zastanowić się nad celem dalszej pracy literackiej.

J. L. we Wrocławiu. Jedna z Pańskich „deklaracji": „lot się odkrywa przed okiem/iśni swoimi wargami/oparty o dno tych dni/ściętych smugą twarzy/boga siedzącego na nocniku". Monstrualna historia. My obrazu pojąć nie jesteśmy w stanie, zaś weselić nam się nie wypada. Jak przy obranym trybie wypowiedzi poetyckiej może Pan myśleć o „akceptacji społecznej" swoich tekstów? Czytelnik też chciałby coś zrozumieć, gdy czyta wiersze w druku.

B. D. w Lublinie, G. W. (nie podane miejsce zamieszkania). Cenną rzeczą są uczucia patriotyczne. Manifestowane w rozmaity sposób, a także przeżywane intymnie. Powstaje wszelako pytanie, czy jeśli już wyjawia się te uczucia, to trzeba akurat męczyć poetyckie muzy. Na dobrą sprawę mamy dziś w kraju ok. 20 mln dorosłych osób, które gdyby zechciały w taki sposób eksponować własny patriotyzm, to ile byśmy mieli do czytania, Państwo Drodzy! A równocześnie ile byśmy mieli rzeczywistej poezji?! Stosunek trudny do wyobrażenia.

A. S. w Kłodzku. Panu i bardzo dużej grupie autorów wydaje się, że sprawy erotyczne są to najważniejsze problemy dla człowieka, że na przykład zdrada małżeńska jest dla „zainteresowanych" wydarzeniem kosmicznym. Nawet gdyby kryła się w tym pewna doza prawdy, to i tak nie widać powodów, dla których literatura miałaby znosić te nieustanne obyczajowe „opisówki". Wyobraźnia naszych autorów sięga albo najbardziej patetycznych tematów, albo spraw łóżkowych. Tego co „w środku" nie potrafią dostrzec. A już najwięcej śmieszy ujęcie kwestii łóżka w konwencji patetycznej.

A. G. w Krośnie. Ma Pan skłonność do zbitek poetyckich, które do cna już zostały przez literaturę wyeksploatowane: „kryształowa rosa", „wizja marzeń", „księżyca promień", „oczu brzegi", „płacz wiatru" itd. itd. W tej sytuacji trudno będzie Panu zadebiutować w naszym piśmie, przynajmniej nadesłanymi tekstami.

S. L. w Warchołowicach. Zdecydowanie najbardziej lubi Pan poetycko opisywać krajobraz. Tyle, że dziś jest to już sprawa nadzwyczaj trudna. Po tych taśmecach i tonach poezji opisowej, jakie w historii były! Jest Pan jednym z wielu, któremu nie udało się odświeżyć tego gatunku, bo zbytnio zaufał Pan dawnym mistrzom i wzorcom.

J. P. w Helenówku. Jest Pan niezwykle oczytany we współczesnej literaturze, a w poezji szczególnie. To znać w nadesłanych tekstach. Czyta się je bez specjalnego zniecierpliwienia, bo świadomość tego, czego się oczekuje od „nowoczesnej" literatury posiadł Pan w stopniu dostatecznym. Tyle tylko, że powiela Pan schemat poezji, który dorósł wprawdzie do publikacji, bo się takie rzeczy powszechnie drukuje, ale też i nie wykracza poza obowiązujące konwencje literackie. Niech Pan weźmie do ręki debiuty książkowe młodych poetów. Wszystkie niemal są do siebie podobne i o wszystkich można by powiedzieć: gdzieś już to słyszałem.

Słowo o »Słowie«

Stanisław Fornal

27 WRZEŚNIA 1949 r. w kieleckich kioskach pojawił się 1 numer gazety o nazwie „Słowo Ludu". 35 tys. nakładu, mały format, lichy druk, zamazane zdjęcia... Całość redagowana przez szczupłutki zespół, rekrutujący się głównie z b. korespondentów robotniczo-chłopskich. Takie było „Słowo" na początku. Dziś średni nakład dzienny sięga 160 tys., a w chwilach niedzielnych wzlotów przekracza 180 tys. egzemparzy. Kolektyw redakcyjny rozrósł się, okrzepł, wyspecjalizował. Gazeta ma 7 wydań tygodniowo — w tym sobotni „Magazyn", wysoko ceniony także poza regionem.

Wydania codzienne ukazują się w 8 mutacjach: kieleckiej, radomskiej, ostrowieckiej, skarżyskiej, nadnidziańskiej, powiślańskiej, północnej i zachodniej. Pozwala to na szerokie uwzględnianie problematyki lokalnej, na bliską więź z czytelnikami w dziesiątkach wsi, osad i miasteczek. Ponieważ zaś ta służba terenowi idzie w parze z podejmowaniem rozległej tematyki społeczno-politycznej z kraju i ze świata, dorobek 20-lecia „Słowa Ludu" jest bezspornie duży.

Do szczególnie mocnych stron pisma należy od lat reportaż. Nazwiska: R. Smożewskiego, B. Zapały, J. Głębockiego, Andrzeja Małachowskiego, B. Rajcherta, Z. Nosala liczą się na krajowej giełdzie reporterskiej. W powszednim gazetowym trudzie towarzyszy im spora grupa uzdolnionych publicystów, depeszowców, skrzętna służba informacyjna. Lista wszelakich odznaczeń, nagród i wyróżnień, jakie zdobyli zespołowo i indywidualnie, zajęłaby z pewnością kilka szpalt. Nie mniej chyba tasiemcowy byłby spis tych, którzy przeszli przez „Słowo" dobrze czyniąc, zaś dziś pełnią inne, często b. odpowiedzialne funkcje. W jubileuszowych wspomnieniach przejawiają się więc postacie: Wincentego Kraśki, Mieczysława Róg-Świostka, Zbigniewa Kwiatkowskiego, Stanisława Stefańskiego, Ryszarda Wojny, Czesława Michniaka, Bolesława Bartoszewicza, Jana Łyska i wielu innych. Czci się też pamięć Stefanii Majewskiej, nieżyjącej już nestorki kieleckiego dziennikarstwa, cenionej znawczyni filmu.

Jubileusz gazety uświetniła m. in. okolicznościowa sesja ZG SPD pod przewodnictwem St. Mojkowskiego — z udziałem: sekretarza KC PZPR Stefana Olszowskiego, I sekretarza KW Tadeusza Rudolfa i prezesa RSW „Prasa" Tadeusza Galińskiego. W czasie tego i innych obchodów rocznicy twórcy „Słowa" — redaktorzy, drukarze, korektorzy, pracownicy administracji i kolportażu — zebrali mnóstwo wyrazów zasłużonego uznania. Ponieważ jednak nie samym kadzidłem żyją jubilaci, znalazł się też czas na nieoficjalne, kuluarowe pogwarki i wskrzeszanie rozmaitych, nie tylko bohaterskich przeżyć. Do najzabawniejszych należy chyba przygoda Jerzego Figasa z oddziału radomskiego.

Kiedyś, jeszcze w dobie bankietomanii, przyszło mu uczestniczyć w „lampce wina" z okazji sukcesów produkcyjnych pewnej dużej fabryki. Znalazł się tam, jak powiada, zastępczo — zamiast któregoś z kolegów bardziej doświadczonych w obsłudze takich imprez. Pierwszy toast brzmiał „Za pomyślność całej załogi". Kiedy zauważono, że nowicjusz ociąga się z wychyleniem go do dna, ktoś z gospodarzy spytał: „Czyżby redaktor nam źle życzył?". Nie życzył źle. Spełnił. Potem przyszła kolej na toasty za sukcesy poszczególnych wydziałów. „Ile ich?" — spytał gość. „Trzydzieści pięć..." — padła odpowiedź. Nie wytrwał do końca. Wyszedł. Dotarł do domu. Rodzina dziwiła się: dlaczego wraca w kapeluszu, skoro wychodził bez?... „Nie wiem" — odpowiedział zgodnie z prawdą.

Nazajutrz z rana zabrał się do pisania relacji z uroczystości. Sięgnął do notatek. To i owo odcyfrował. Niestety, nazwisko ministra wręczającego sztandar było nieczytelne, a pamięć zawodziła... Zatelefonował do dyrektora zwycięskiego zakładu — zagajając rozmowę ogólnikowym: „Jak się udało wczoraj?" — „Nieźle" — odrzekł dyrektor. „Tylko, wie pan, przy pożegnaniu ministra była trochę głupia sytuacja, bo gdzieś się zapodział jego kapelusz..."

Pokłon jubilatom!

P.S. 20-lecie obchodziły również „Nowiny Rzeszowskie". Zespołowi i tego interesującego dziennika ślemy serdeczne gratulacje. (Red.)

Wkrótce w „Kamenie":
Ze wspomnień prokuratora